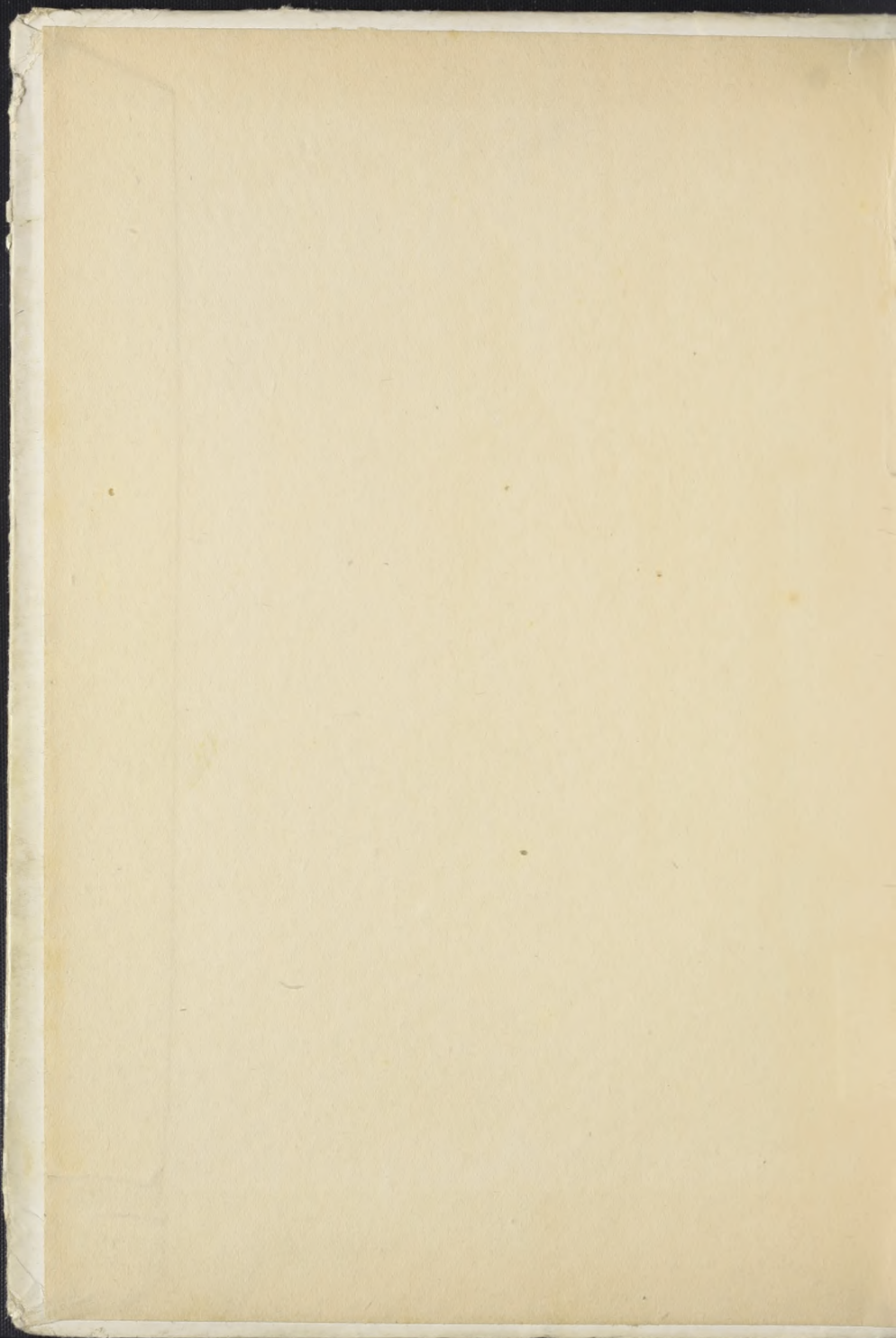
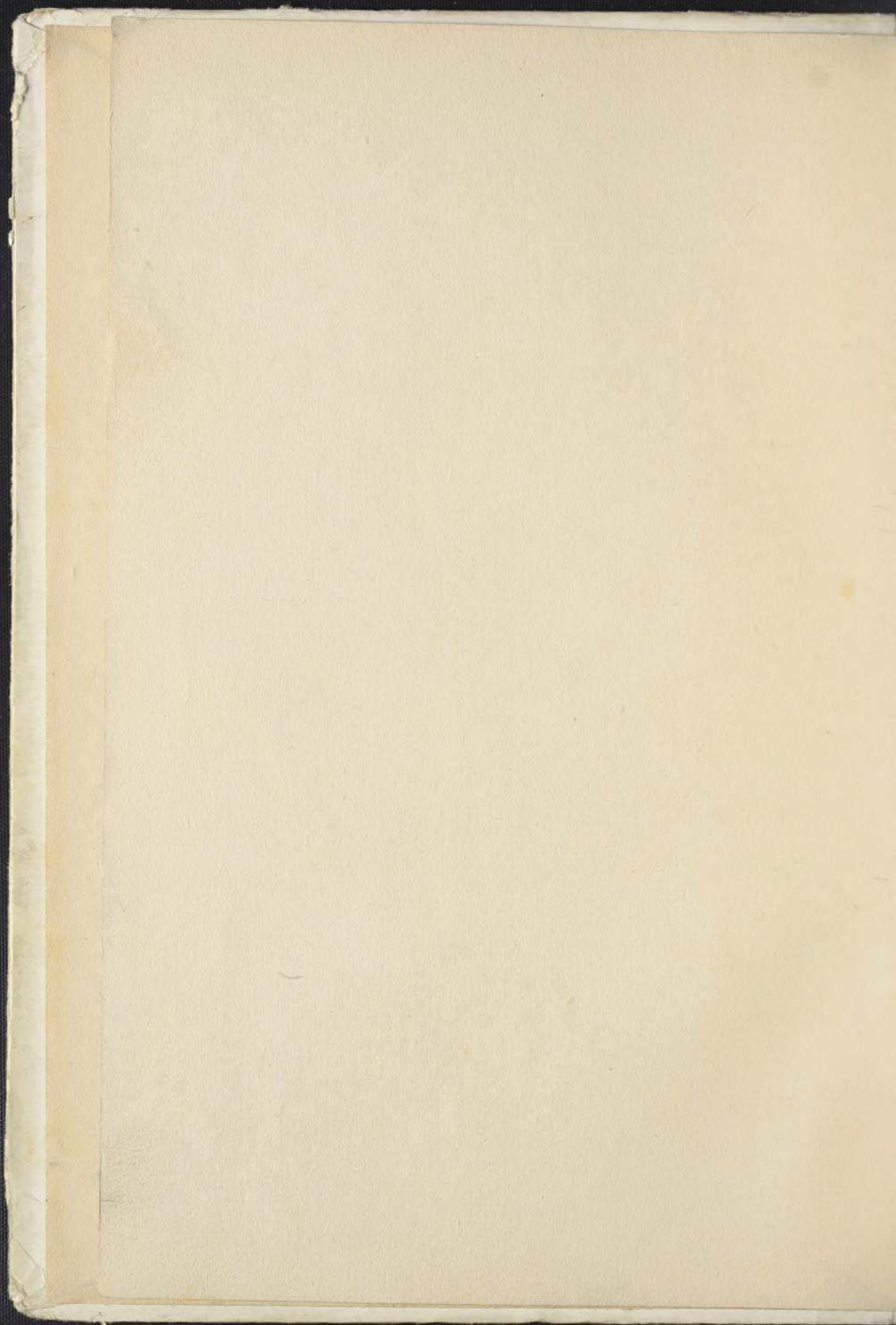




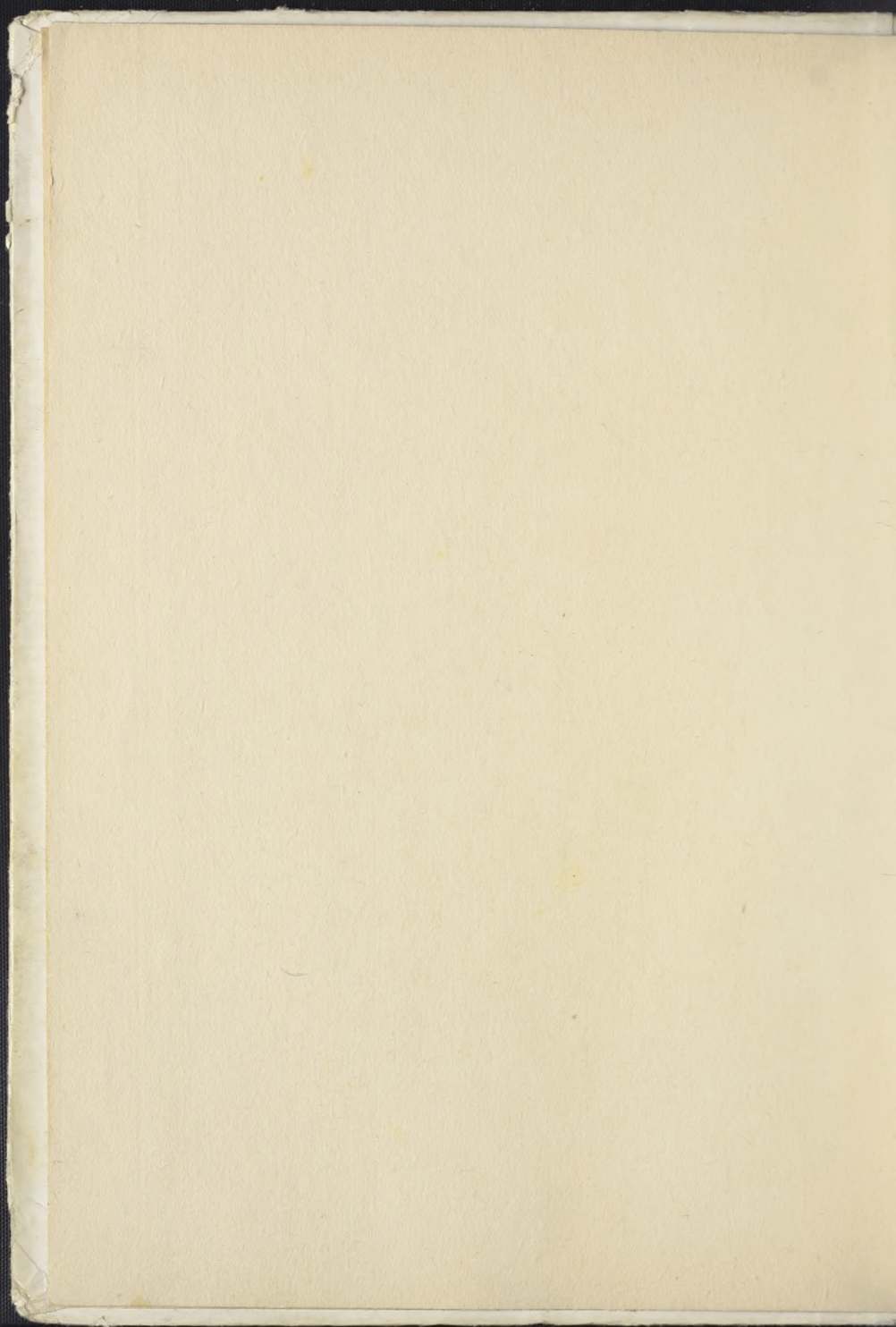
ANIELKA w **SZKOLE**



T. 1. 468. 127



ANIÉLKA
W SZKOLE



LIBRARY
BN
MADONNA



opr. JANINA ZAWISZA-KRASUCKA

ANIELKA W SZKOLE

POWIEŚĆ DLA PANIENEK



1 9 3 4

WARSZAWA — LWÓW — KRAKÓW



I. 1. 468. 127



Druk. Rekord, W-wa Zamenhofska 18, tel. 37-36.

1981 D 303 / 32

Słowo wstępne.

Chodźcie, drogie dzieci! Pójdziemy razem do zielonej doliny. Spójrzcie na ten gęsty las, zawieszony u zbocza góry! Widzicie to mnóstwo różnobarwnych kwiatów na łąkach? Odetchnijcie świeżem pachnącem powietrzem, dzieci, odetchnijcie głęboko! Rozkosznie wije się strumyk wśród świeżej zieleni. Szumi i gaworzy, a szumowi temu towarzyszy dźwięk dzwonów z pobliskiego kościołka. Wieś! Białe domki połyskują w słońcu nieskalaną czystością. Nawet ulice są niezwykle czyste i wyglądają odświeżenie tak samo, jak ludzie, którzy właśnie idą do kościoła. Chodźcie, dzieci, pragnę wam w tej wsi szczególnie jeden domek pokazać. Otóż i on! Kiście dzikiego wina oplatają ściany domku, aż po sam dach, pod którym jaskółki uwiły swe gniazdko. Na dole jest

tak różnobarwnie, że aż oczy bolą patrzeć. Maleńki ogródek od strony ulicy, a za domkiem żółta stodoła. Strumyczek przepływający przez podwórze, bieży wartko, jakby w wesołych podskokach. Wszystko tu tak wygląda, jak przed wielu, wielu laty...

Czy wiecie, kto kiedyś w tym domu mieszkał? Mieszkała tu Anielka, Anielka o błękitnych oczach. O niej właśnie pragnę wam opowiedzieć.

Anielka.

Było to w piękny poranek wiosenny. Anielka wyszła ze sklepiku. Kupiła soli i ciężki woreczek zarzuciła na plecy, niosąc go do domu.

Gdyby nie miękkie wijące się loki Anielki, każdy z pewnością mógłby pomyśleć, że jest ona chłopcem, a nie dziewczynką. Nie ma Anielka warkocza, jak inne dziewczynki, a ciemne, jedwabiste loczki okalają jej zarumienioną twarzyczkę przylegając mocno do czoła. Można je rozciągać, jak małe wstążeczki z gumy, które pod wpływem dotknięcia odskakują, lecz potem skracają się szybko napowrót. Anielka nie nosi ani bucików ani pończoch. Od wczesnej wiosny do późnej jesieni biega sobie na bosaka. Również ręce jej są gołe i dlatego takie opalone.

Woreczek uciska mocno drobne ramionka dziewczynki. Przed gospodą „Pod niedźwiedziem” Anielka zdejmuje swój ciężar z pleców i stawia go na ziemi. Gospoda połyskuje kilku świeżo wymytemi oknami. Anielka spogląda w te okna w zamyśleniu. Nagle dostrzega w najniższym okienku, znajdującym się tuż przy ziemi, śmieszną żelazną kratę. Zbliża się wolno i między żelazne pręty wsuwa swą bosą nóżkę. Nie myślicie, że to takie łatwe. Anielka wsuwa nóżkę coraz mocniej, aż wreszcie nóżka wciska się między kraty. Jeszcze jeden wysiłek i bosa nóżka znajduje się już za kratami.

— Au!—woła Anielka przerażona i chce nóżkę prędko wycofać z powrotem. Ale niestety! Krata nie ustępuje. Policzki Anielki stają się jeszcze czerwiejsze, drobnutkie kropelki potu występują na czoło. Anielka walczy z żelazną kratą wszelkimi siłami. Nóżka jednak pozostaje w uwięzieniu. Dziewczynka więc zaczyna głośno, coraz głośniej płakać.

Wiejską ulicą idzie pan ubrany na czarno.

— Ach, to Anielka o błękitnych oczach, — woła pan, w którym Anielka poznaje miejscowego sołtysa. — Cóż ci się za nie-szczęście przytrafiło?

— Moja noga... nie mogę... jej stamtąd wyjąć, — szlocha Anielka.

Sołtys pochyla się. Ujmuje w obydwie ręce opalone kolanko dziewczynki. Zaczyna ciągnąć, Anielka jęczy.

Sołtys ciągnie wciąż mocniej i mocniej, aż wreszcie opalona nóżka jest znów na swobodzie.

— Teraz możesz biec dalej, — śmieje się sołtys, — jakim sposobem wsunęłaś tam nogę?

— Chciałam tylko spróbować, czy przejdzie, a potem już nie mogłam jej wyciągnąć, — jęka się Anielka.

Sołtys śmieje się znowu.

— Tak, tak, i spróbowałaś, — mówi. — Nie płacz już teraz. Miałaś karę, boś się musiała bardzo przerazić, ale za ten przestach należy ci się nagroda.

Tak mówi sołtys i z portmonetki wyjmuje dziesiątkę, którą podaje Anielce. Błękitne oczy dziewczynki śmieją się znowu i całe zmartwienie jest już dawno zapomniane.

— Dziękuję serdecznie, — woła Anielka uradowana i zarzuciwszy woreczek z solą na plecy, śpiesznym krokiem biegnie do domu.

Pierwsze kwiatki.

Anielka stoi za domem. Spogląda w zachwycie na pogodne błękitne niebo. Słońce wylania się z za lasu i uśmiecha się, spoglądając na zarumienione policzki dziecka. Na dłuższą chwilę Anielka musi zamknąć oczy. Gdy je później znowu otwiera, dostrzega zdziwioną twarz matki w oknie kuchennym.

— Co tu znowu robisz? — pyta matka.
— Dam ci lepsze zajęcie. Idź na pole i podrzucaj trochę kamieni. Ja tam zaraz przyjdę.

Okno kuchenne zamknęło się, a Anielka wolniutko idzie w stronę pola. Idzie, jakby we śnie. Niebo jest takie błękitne! Słońce świeci tak cudnie, a łąki zaczynają się zielenić. Główki tysiączniku polyskują wśród młodej wschodzącej trawki. Nagle Anielka przystaje i spogląda z zachwytem ku wierzchołkowi wznoszącego się przed nią drzewa. Siedzi tam mały ptaszek, który wydiera się na całe gardło, rozradowany ślicznym porankiem. Jakże chętnie Anielka pr. yłączyłaby się do jego śpiewu! Ptaszek jednak odlatuje, daleko, leci ponad łąką. Anielka spogląda za nim. Jednak po chwili pochyła się i trzyma już w rączce biały delikatny dzwo-

neczek. Mały dzwoneczek marcowy kiwa główką, podczas, gdy dziewczynka dalej szuka kwiatków. Naprawdę, tam widzi jeszcze jeden i jeszcze jeden, a tam, ach, jaki cudowny, tam rośnie cała kępka dzwoneczków. Anielka pochyla się znowu. Posuwa się wciąż dalej i dalej, aż wreszcie trzyma już w ręku cały bukiet. Wącha kwiatki, układa je zręcznie i przygląda się im z radością. Ach, strumyk! Swawolnie płynie strumyk, skacząc po kamieniach i połyskując w słońcu, jakby miał sukienkę z błyszczącego jedwabiu. Dziewczynka, przejęta radością, siada na brzegu i znowu zaczyna układać w bukiet swoje kwiatki.

— Jako pięknie, gdy wiosna nadchodzi, — myśli.

Pochyla się, aby rączki zanurzyć w wodzie. Wówczas na dnie strumyka widzi mnóstwo lśniących kamieni, inne są mchem porośnięte.

— Kamienie! Jezus Marja, przecież miałam kamienie odrzucić! — przebiega nagle przez główkę Anielki.

Przerażona zrywa się. Ach, to głupie pole! Anielka zupełnie o niem zapomniała. Potykając się, biegnie teraz wilgotną łąką, ale już na polu zastaje matkę, pracującą pilnie. Serduszko Anielki bije mocno.

— Szukałam kwiatków, mateczko, — szepcze błagalnie, stając za plecami matki.

Matka odwraca się. Wówczas Anielka podaje jej bukiet pięknych, białych dzwonczków.

— Patrz, mateczko, dla ciebie, — mówi, przez łzy się uśmiechając.

— A matka głaszcze spracowaną ręką rumiane policzki dziewczynki i dziękuje jej za kwiaty. Potem pracują już razem aż do obiadu.

Do szkoły.

Pączki na drzewach pękają jeden po drugim i drzewiny pokrywają się wkrótce świeżutkiem młodem kwieciem.

— Liri-li-hi-hi, — śpiewa w gałęziach kos.

Pliszka skacze wesoło z kamienia na kamień i kręci beztrosko długim swym ogonkiem. Potem nagle unosi się w górę i odlatuje.

Dwie dziewczynki biegną szybko przed siebie. Sukienki ich powiewają na wietrze. To Anielka i Cesia. Każda z nich dźwiga pod pachą szyfrową tabliczkę i linijkę. Pragną wymyć swe tabliczki, bo w poniedziałek mają po raz pierwszy pójść do szkoły.

— Tutaj jest ładniejszy piasek, — woła Anielka i siada na dużym kamieniu. Wyciąga kolorową szmatkę z kieszeni i przedziara ją na dwie części. — Jednym kawałkiem będę myła, a drugim wytrę na sucho, — woła z zadowoleniem.

Obydwie dziewczynki maczają swe szmatki w strumyku. Nabierają potem na szmatki białego piasku i zawzięcie szorują ramki tabliczek. Przyklęły nawet w tym celu na ziemi.

— Moja tabliczka będzie cudna! — raduje się Cesia. — Nikt się nie domyśli, że nie mam nowej.

— Mnie tam wcale na nowej nie zależy, — odpowiada Anielka — ramka u mojej tabliczki jest zupełnie biała, mamusia przewlecze mi nowy sznurek i dokupi nową gąbkę. Spójrz, jak tabliczka doskonale wygląda!

— Ach, ale linje zupełnie się zatarły! — zwraca uwagę Cesia, przeciągając dłonią po tabliczce przyjaciółki. — Pan nauczyciel gniewa się, jak ktoś na tabliczce nie ma linii, bo przecież bez linii nie można dobrze pisać.

Anielka ze zdziwieniem przygląda się tabliczce.

— A przecież brat mój na niej pisał, — tłumaczy.

— Tak, ale Romek jest duży, — szepcze Cesia. — Uczniowie pierwszej klasy koniecznie muszą mieć linje na tabliczkach.

Anielka zamyśla się na chwilę, poczem wybucha śmiechem.

— Wiesz dokąd pójde? Pójde do Wojtka, on wszystko umie. Napewno zrobi mi nowe linje na tabliczce i ładniejsze jeszcze od twoich.

Cesia spogląda na swoją tabliczkę. To byłoby trochę przykre, ale Anielka już jej zarzuca ramiona na szyję i mówi czule.

— Wiesz, Cechno, pójdziemy razem do Wojtka. On i tobie nowe linje zrobi i będziemy miały jednakowe tabliczki, dobrze?

Cesia potakuje skinieniem głowy.

— Mam także dostać śliczny piórnik od brata, — mówi po chwili. — A później kupię sobie w sklepie całą paczkę szyferków, ale wezmę takie w kolorowym papierze.

— Ja także kupię szyferki, — zapala się Anielka. — Umyjmy prędko tabliczki i chodźmy.

Dziewczynki zabierają się znowu do pracy, biegając od tabliczek do strumyka i z powrotem.

— Wytrę jeszcze ramy, — woła Anielka.

— Ja także; białe są, jak śnieg, — odpowiada Cesia.

— Trzeba umyć linijki, ale to nie takie łatwe, bo strasznie dużo na nich kleksów atramentowych!

Tak gawędzą ze sobą dziewczynki, a słońce uśmiecha się do nich przyjaźnie.

— Gotowe, — oświadcza wreszcie Anielka i z błyszczącą tabliczką biegnie przez łąkę.

— Zaczekaj na mnie przy źródelku, — woła za nią Cesia — wezmę tylko z domu dziesiątkę na szyferki.

Uśmiechnęły się do siebie i Cesia, popędziła do domu.

Ruszamy do szkoły!

Czyściutka, umyta i uczesana, stoi Anielka pośrodku izby. Matka wyjmuje z szafy świeży fartuszek, a ponieważ Anielka po raz pierwszy idzie dziś do szkoły, więc musi koniecznie włożyć buciki i pończoszki. Z tego Anielka jest najbardziej dumna.

— Chodźże już! — woła po raz drugi z ulicy Cesia.

— Już, już!

Szyferek stuka wesoło w piórniku, a na długim sznureczku tańczy figlarnie nowa

gąbka. Dziewczynki z podziwem na siebie spoglądają.

— Mamy prawie jednakowe fartuszki— zwraca uwagę Anielka.

— Tak, a spójrz, jak moje buciki błyszczą, — dorzuca Cesia, — chociaż twoje też są bardzo ładnie wyczyszczone.

— O, dwie nowe uczenice, — woła żona Tomasza Cieśli ze swego ogrodu. --Bądźcie odważne i dobrze się sprawujcie! Dziewczynki uśmiechają się.

— Patrz, Jasiak idzie ze swoją mamusią, — szepcze Cesia, — a tam biegnie Idalka Ratoniów. Idzie także sama.

Anielka ogląda się w tę i w tamtą stronę. Jest w doskonałym humorze.

— Już jesteśmy przed szkołą, — mówi po chwili, głęboko oddychając.

Ponawia troskliwie fartuszek i przygląda loczki.

Tylko kilkoro dzieci stoi przed szkołą. Przyglądają się sobie wzajemnie z ciekawością. Anielka dziwi się, że wszystkie dzieci dzisiaj tak czyściutko wyglądają. Wreszcie wybija godzina dziewiąta. Małe serduszka zaczynają bić również. Anielka i Cesia ścisną się mocniej za rączki. Drzwi szkoły otwierają się. I co teraz?

W szkole.

W izbie szkolnej siedzi już mnóstwo dzieci. Śmieją się i patrzą ciekawie na wchodzących uczniów pierwszej klasy.

— Wchodźcie i siadajcie na wolnych ławkach przy oknie, — mówi przyjaźnie nauczyciel.

Jasiek Styk trzyma mocno za rękę swą mamusię. Anielka i Cesia siadają na pierwszych ławkach. Siedzą cichutko, jak myszki pod miotłą. Nauczyciel sięga po jakiś zeszyt, potem pyta:

— Kto z was potrafi głośno i wyraźnie powiedzieć swoje imię i nazwisko?

— Ja!

— Ja!

— Ja!

— My najprzód powiemy!

Z kąta izby rozlega się dźwięczny głosik:

— Ja się nazywam Anielka Lipkówna!

Cesia idzie za przykładem przyjaciółki.

— Bardzo dobrze, — chwali nauczyciel.

Inne dzieci jednak pragną to jeszcze ładniej wypowiedzieć. Starsi uczniowie wybuchają śmiechem. Malcy wesoło rozglądają się dokoła.

— No, a teraz chciałbym wiedzieć, co ładnego przynieśliście z sobą do szkoły, — odzywa się nauczyciel. — Połóżcie wszystkie przyniesione rzeczy na ławkach.

Pum, pum, pum, klaszczą po pulpitach linijki i tabliczki.

— Ach, jakie to śliczne, czyściutkie tabliczki, — chwali nauczyciel i głaszcze Anielkę i Cesię po twarzyczkach.

— Mamy także piękne szyferki, — wtrąca Anielka rezolutnie, otwierając swój piórnik.

— Cudownie! — śmieje się nauczyciel i podchodzi do innych uczniów. Musi przecież wszystko zobaczyć i wszystko pochwalić.

— Prawda, że piękne — rzeczy przynieśliście — mówi po chwili, ale i ja mam tu dla was dużo ładnych niespodzianek. Rozzejrzyjcie się po klasie uważnie. Co się wam podoba?

— Mnie się podoba ten obrazek z psem, — woła mały Henio.

— Proszę pana, my także mamy pieska w domu, — rozlega się z ostatniej ławki.

— My też mamy, ale takiego dużego, — woła Stefcia, — zawsze pilnuje domu i zawsze szczeka, jak ktoś obcy przechodzi. Ale

nasz pies jest zły, raz nawet piekarzowi rozdarł spodnie.

Wszystkie dzieci wybuchają śmiechem.

— To ja do ciebie już nigdy nie przyjdę, bo i mnie pogryzie, — mówi nauczyciel.

— Nie, nie, będę go trzymała mocno za obrozę, to nic panu nie zrobi. Prawda, Heniu, że ja go umiem mocno trzymać!

Henio kiwa głową.

— Proszę pana, mnie się strasznie podoba ta krowa, — woła rudy Kuba, wychodząc na środek izby i wskazując palcem obrazek. — Nasza Łaciata jest zupełnie taka sama, a oprócz niej mamy jeszcze dwie kozy.

— My mamy siedem krów i dwoje cieląt, — opowiada Weronka.

— A my mamy dziewięć krów, — woła Krysia, — już nieraz je pasłam na łące.

— A u nas jest koń, — dorzuca Franio, synek miejscowego piekarza, — a jaki mądry! Parobek czasem zaśypia na wozie, a koń sam wraca do domu.

Rudy Kuba zapala się coraz bardziej:

— Nasza krowa jest jeszcze mądrzejsza, bo zna się na godzinie.

Znowu starsi uczniowie wybuchają śmiechem. Kuba rumieni się nagle.

— A skąd wiesz o tem? — pyta nauczyciel.

— Bo co wieczór o tej samej porze zaczyna wołać muu, muu! A jak spoglądamy na zegar, to zawsze jest wtedy godzina szósta.

— Ja w to wierzę, — woła Henio — nasze krowy też zawsze myczą o szóstej, bo chcą, żeby je wydoić.

— Proszę pana, bardzo mi się podoba ten wazon do kwiatów i te kwiatki. — wołają jednogłośnie Anielka i Cesia.

Nauczyciel bierze ze stołu wazon z kwiatami.

— A co to są za kwiatki? — pyta.

— Pierwiosnki!

— Fiołki!

— Koniczyna!

— Proszę pana, a ja znam miejsce, gdzie rosną śliczne pierwiosnki. Mogę panu jutro przynieść bukiet? — pyta Anielka.

— Owszem, przynieś mi kilka kwiatków.

— Ja też przyniosę!

— Ja także!

— I ja!

— Przyniosę fiołki i koniczynę!

Nauczyciel śmieje się i spogląda na zegarek.

— Teraz będzie pauza, — oświadcza.—

Wy, z pierwszej klasy, możecie iść do domu, a o pierwszej przyjdziecie znowu.

Malcy wysypują się z ławek. Twarzyczki ich jaśnieją radością.

— Ale przyjemnie jest w szkole, — myśli z zadowoleniem Anielka.

R y b y.

Z długim wędzidłem w ręce, starszy brat Anielki wychodzi wczesnym rankiem z domu.

— Dokąd idziesz? — pyta Anielka.

— Nadół, do kanału.

— Poczekaj, pójde z tobą!

— Jesteś mi niepotrzebna, zostań lepiej, — woła Romek przez ramię i spieszniejszym krokiem biegnie w stronę kanału.

Ale Anielka w domu nie zostanie. Kładzie biały fartuszek i wolniutko idzie za Romkiem. Romek usiadł nad brzegiem kanału. Z małego blaszanego pudełka wyjął robaka i umocował go na haczyku. Haczyk zarzucił do wody głęboko, głęboko i czeka. Anielka wolno podchodzi do wąskiego strumyka, który w jednym miejscu łączy się z kanałem. Dopiero przed tygodniem puszczano tędy wodę. Kanał otwarto i cała woda spłynęła do sadzawki. Teraz jednak świeża woda napłynęła i Anielka przygląda

się jej z ciekawością. Czasami w strumyku jest tak mało wody, że można przez niego przejść suchą nogą. W niektórych miejscach, gdzie jeszcze woda została, widać małe pływające rybki. Anielka pochyla się, jakby chciała te rybki schwytać. Uciekają od niej. Kika razy nawet podnosi kamyk i chce nim jakąś rybkę zatrzymać. Niestety! Nagle jednak prostuje się oniemiała. Tuż, w pobliżu, przy samym zakręcie strumyka płynie ogromna ryba. Ogromna i lśniąca, poruszająca na wszystkie strony rozgałęzionym ogonkiem. Anielka wstrzymuje oddech. Ryba jest już tuż przy niej.

— Żebym ją tak mogła złapać, — szepcze dziewczynka, na samą myśl rumieniąc się z radości.

Pochyla się znowu. Obydwie ręce trzyma tuż nad powierzchnią wody. Ryba płynie tam i napowrót, widocznie zaciasno jej na tej małej przestrzeni. Zbliża się coraz bardziej do dziewczynki. Dwie małe rączki z błyskawiczną szybkością zanurzają się w wodzie, poczem podnoszą się znowu w górę, a w rączkach trzepocze się duża błyszcząca ryba. Anielka trzyma ją silnie i odskakuje od strumyka. Trzymając rybę wciąż oburącz, biegnie dziewczynka do wsi, a ludzie których mija, przystają i śmieją się.

Chłopcy i dziewczęta zastępują jej drogę. Pragną koniecznie rybę zobaczyć. Któryś z chłopców biegnie przodem, aby matkę Anielki uprzedzić o tej niespodziance.

— Ryba, prawdziwa żywa ryba, — rozlega się po całej wsi. — Anielka Lipkówna złowiła żywą rybę!

A gdy Anielka czerwona, jak rak wpada do domu, na środku izby stoi już przygotowany szaflik z wodą. Anielka wpuszcza do szaflika rybę, która z głośnym pluskiem pochyla się trzepotać. Wszyscy przyglądają się rybie z radością. Stary sąsiad klepie Anielkę po ramieniu:

— Dzielna z ciebie dziewczyna, — mówi ze śmiechem.

Anielka jest dumna, jak królowa.

— Ile ryb złowiłeś? — pyta Anielka, spoglądając na brata z figlarnym uśmiechem.

— Ani jednej, — odpowiada Romek niechętnie.

— Widzisz, a ja złowiłam pstrąga, — śmieje się Anielka, przyczem błękitne jej oczy błyszczą radością.

Sianokos.

Po kilku dniach ustawicznego deszczu mamy wreszcie pogodny wieczór.

— Jutro będzie napewno ładnie, — mówią wieśniacy, — będziemy mogli narzeczcie zebrać siano.

Gospodarz zadowolony zwraca się do parobka Wojtka i pyta:

— Możebyśmy kosili w nocy, przy księżycu, bo jutro i tak będziemy mieli pełne ręce roboty.

Wojtek nie jest leniwy, chętnie wybierze się w nocy na łąkę. Obydwaj zarzucają wyostrzone kosy na ramiona i wychodzą. Trawa jest wysoka. W wielu miejscach pochylila się od deszczu i tutaj właśnie najtrudniej jest kosić. Ricz, racz, śpiewają kosy, ricz, racz, ricz, racz — i ostrza ich polyskują w promieniach księżyca.

Wojtek ociera pot z czoła. Ze wszystkich stron dobiegają głośnie rozmowy, wszędzie ludzie pochyleni pracują.

— Może wam pomóc? — woła ktoś, przechodząc wąską miedzą. To stary Tomasz, cieśla.

— Doskonale, prosimy, — odpowiada gospodarz, — podczas sianokosu rąk nigdy nie jest za wiele.

We trójkę teraz pracują dalej. Pracują do pierwszej w nocy, a potem wracają do domu i kładą się spać na dwie godziny.

Gdy słońce wschodzi i pierwsze jego

promienie wnikają do doliny, ludzie są już znowu przy pracy. Na obszernej łące trawa jest już skoszona. Słońce ze zdziwieniem spogląda na pochylone plecy pracujących i wstydzi się trochę, że samo tak długo spało. Chce odwdzińczyć się pracowitym wieśniakom i coraz gorętsze promienie wysyła na łąkę, aby skoszona trawa wyschła jak najspieszniej. Nastaje upalny dzień. Kobiety i dzieci wychodzą również na łąkę; wszyscy pragną pomagać, wszyscy coś zrobić muszą. Trzeba przecież zgrabić skoszoną trawę, trzeba ją przewrócić. Anielka też jest na łące. Policzki jej pałają, drobne kropelki potu występują na czoło. Z jaką radością powitali wszyscy wołanie gospodyni:

— Chodźcie na obiad! — Anielka odłożyła grabie i wraz z innymi wolnym krokiem przeszła pod rozłożystą przydrożną jabłoń. Kto żyw, już tam odpoczywał, wszystkie kobiety i dzieci, Wojtek, gospodyni i gospodarz, wszyscy rozsiedli się na wąskiej miedzy.

— Teraz człowiek się posili, — uśmiecha się gospodarz, — siadajcie.

Na trawie rozpostarto wielki kolorowy fartuch. Znalazł się świeżo upieczony chleb

i połać słoniny, pokrojona na duże kawałki. Gospodyni zaczęła krajać chleb.

— Trzebaby się naprzód czegoś napić, — zaproponował gospodarz. — Hej, Anielciu, podaj tu ten dzbanek, tam jest mleko. I przynieś szklanki!

— Ten drugi dzbanek też możesz przynieść, — dorzuciła gospodyni, — przyniosłam w nim zimną kawę.

Przy Anielce, siedzącej pod jabłonią leży, spory kawałek chleba i kawał słoniny. Matka podaje dziewczynce kubek zimnej kawy. Ach, z jaką przyjemnością wypija to Anielka! A potem zaczyna jeść z prawdziwym apetytem.

— Dobra słonina, co? — szepcze wesoło starszy brat Anielki, Stasiak.

Anielka kiwa tylko głową. Jeszcze nigdy obiad jej tak nie smakował.

A upał zмага się z każdą chwilą. Wojtek zjadł już i położył się na trawie, to samo zresztą uczynił gospodarz. Anielka postanawia pójść za ich przykładem. Przygląda się teraz chrząszczykowi, który z wysiłkiem ciągnie okruszynkę chleba po trawie. Też się biedak musi napocić.

Po niebie wędrują duże, szare obłoki.

— Może jeszcze dzisiaj burza będzie, — odzywa się gospodyni zatroskanym głosem,

trącając śpiącego gospodarza. — Wracajmy do roboty, żeby zdążyć jeszcze dzisiaj zwieźć to siano.

Wszyscy wstają. Trawa już prawie zupełnie wyschła, trzeba ją tylko jeszcze raz przewrócić. Później Wojtek biegnie szybko do domu i wraca na łąkę z drabiniastym wozem. Zaczyna się ładowanie siana na wóz. Dzieci pospiesznie grabią, a gospodarz z Wojtkiem wielkimi widłami rzucają siano w drabiny. Matka Anielki pilnuje, aby wszystko dokładnie było zgrabione. Na wozie stoi gospodyni, udeptując siano nogami. Wreszcie wóz jest gotowy. Tu dużo naładowano siana, że trzeba je przywiązać mocnym powrozem, aby po drodze nie spadło. Anielka i rodzeństwo jej wdrapują się na sam wierzch fury: kładą się na sianie wygodnie i wóz rusza z miejsca. Po kilku minutach znajdują się już w stodole.

— Złazić mi tam! — woła gospodarz.

Dzieci zeskakują z wozu, a gospodarz z Wojtkiem znowu temi samymi widłami rzucają siano do lewego sąsiadka. Anielka w pewnej chwili jest tak zagrzebana w sianie, że nie może się na wierzch wydostać. Z zaróżowioną twarzyczką udeptuje siano przy pomocy rodzeństwa. Teraz nie wolno próżnować, trzeba się spieszyć, chmury nadciągają coraz czarniejsze. Wreszcie wóz zo-

staje opróżniony. Gospodarz wyjeżdża ponownie na łąkę. Dzieciaki gonią wóz, siadają na pustych deskach i przesuwiają bosc nożyny między szczeble drabin.

— Hop, hop! — wołają wesoło.

Wojtek po pół godzinie przywozi drugą furę do stodoły. Słońce powoli kryje się za chmurami. W oddali słychać przytłumiony grzmot. Druga fura zostaje wyładowana. Gotowe! Gospodyni siada na pustym wozie. Tym razem na łące już i matka Anielki pomaga, ładując wielkimi widłami siano na furę. Wojtek zacina konie. Wreszcie ostatni wóz wraca do stodoły. Konie niecierpliwiają się, bo grzmoty stają się coraz wyraźniejsze. Ludzie pracują wytrwale, nie mówiąc do siebie ani słowa. Gospodarz uspokaja zaniepokojone zwierzęta. Udało się jednak. Bez kropli deszczu siano zostało zwiezione do stodoły. Ludzie wyprostowują plecy, oddychają z ulgą. Pierwsze ciężkie krople deszczu spadają na ziemię. Niebo rozdziera oślepiająca błyskawica. Gdzieś w oddali uderzył piorun. Wszyscy śpiesznie biegną ze stodoły do chaty.

— Dzięki Bogu, zdążyliśmy; — mówi gospodyni do matki Anielki i obydwie zadowolone wchodzi do izby.

Powódz.

Deszcz leje, jak z cebra. Ludzie jęczą i narzekają, a pewnego dnia trwożliwie zaczynają bić dzwony w kościele. Wieśniacy spieszą nad rzekę. Brzeg się podobno urywa i woda zalała już łąki. Taka brudna, mętna woda spływa kałużami z pobliskich pagórków, dosięgając pierwszych domów wioski. Gospodarze sypią tamy. Chcą powstrzymać wodę, chcą podwyższyć brzeg. Pracują w pocie czoła, ale woda silniejsza jest od nich i zalewa wieś coraz bardziej. Po jednej stronie wioski nie sposób już przejść suchą nogą. Kałuże stają się strumieniami, a strumienie przeobrażają się powoli w rwące potoki, które płyną wartko z szumem, zabierając po drodze nawet drzewa z korzeniami. Ludzie pragną uratować swój dobytek. Wzięli się do pracy i walczą z szalejącym żywiołem, walczą dniem i nocą. Coraz wyższe budują tamy, lecz wszystko woda z sobą zabiera.

— Nie można dłużej czekać, — mówi matka Anielki. Przyprowadziła z obórki dwie kozy i stoi nad niemi, kiwając boleśnie głową. — Anielciu, zaprowadź kozy na pagórek, do kościoła, bo tam woda nic złego im nie zrobi.

Anielka pośpiesznie wychodzi. Deszcz pada z nieba strumieniami. Przy kościele Anielka przywiązuje kozy do płotka. Cesia jest już tam także. Przyproceedziła dwie owce i ma jeszcze zagnać kury. Pełno tu kobiet i dzieci, pełno kóz, prosiąt, owiec, kur, kaczek i gęsi. Każdy chce ratować swój dobytek, jak może. Anielka z przestraczem, jeszcze raz biegnie do domu. We wsi panuje niepokój, słycać coraz głośniejsze nawoływania:

— Powódź! Powódź!

Dzielni wieśniacy nie mogą zatrzymać napływającej wody. Biegają po wsi w popłochu, a za nimi płynie mętna, brunatna woda. Wkrótce cała wieś jest już niemal zalana. Anielka i jej rodzeństwo z blademi twarzami drząc z przestraczu, stoją na środku izby. Matka modli się głośnie. Woda wtargnęła już przez drzwi do sieni i drugimi drzwiami na ogród wypływa. Zalana już jest kuchnia, a nawet izba, w której dzieci stoją, brnąc po kostki w wodzie. W panicznym strachu wybiegają wszyscy na podwórze. Widok tu jest okropny. Pola, łąki, ogrody i ulice, wszystko tonie w wodzie. Przez główną ulicę wioski płyną jakieś urwane gałęzie, nieżywe kury i małe prosięta. Ludzie płaczą i narzekają. Zwierzęta w obo-

rach ryczą. Od strony kościoła rozlega się znowu trwożny dźwięk dzwonów. Zdają się te dzwony bezradnie wzywać pomocy. A gdy wieczór poczyną zapadać, ojciec Anielki podejżdza na podwórze drabiniastym wozem. Zabiera babcię, matkę i dzieci i zawozi wszystkich do sąsiedniej wioski, położonej nieco wyżej, tam, gdzie woda nic złego uczynić nie może.

— Bóg jeden wie, jak długo potrwa ta powódź, — mówi.

Na serduszku Anielki leży dziwny ciężar. Dziewczynka siedzi cichutko, spoglądając na wodę, w której konie niemal pływają. Dzieci będą spały dzisiaj w obcej chacie. Ojciec, matka i babcia wcale się nie kładą. Będą czuwać.

Nazajutrz rano niebo się jakoś przejaśnia.

— Deszcz przestał padać koło północy, — oświadcza ojciec, — teraz woda znacznie trochę opadać.

Do wszystkich serc wstępuje iskierka nadziei. Woda istotnie opada i rzeka wraca do swego dawnego koryta.

— Niech Bogu będą dzięki, — wzdycha babcia.

I pod wieczór wszyscy wracają do opuszczonej zagrody. Ale jakież tu spustosze-

nie! Po bladych policzkach wieśniaków spływają łzy. Tam, gdzie jeszcze przed kilku dniami zieleniły się łąki, widać tylko brudny muł, kamienie i piasek. Z pól także niewiele zostało. Na nic się nie zdały trud i praca lat całych. Matka Anielki uprzęta izby, wyniosła już dziesięć kubłów błota. Dzieci przez parę dni muszą zbierać z pola kamienie i odłamki drzewa. Anielka przysłuchuje się rozmowom sąsiadów i dowiaduje się, że wioska otrzyma od rządu odszkodowanie. Jednak twarze ludzi nie stają się weselsze. Anielka to dobrze rozumie. I jej się smutno robi na serduszku, gdy spogląda na zamulone łąki, na pokryte błotem pola.

„Pobożna” koza.

Anielka spała jeszcze, chociaż złociste promienie słońca całowały już od godziny rumianą jej twarzyczkę.

— Nie wstaniesz wcale dzisiaj? — zawołała matka już po raz drugi z sąsiedniej izby. — Wstawaj, leniuchu, już ludzie oddawna idą do kościoła!

Za domem zebrało się rodzeństwo Anielki. Wszyscy zajęci są czyszczeniem buciaków. Przecież w niedzielę powinny szczególnie imponująco błyszczeć.

— O, idźcie Anielka. — Śpioch! — zawołał nagle Stasiek. — Patrzcie, nawet oczu otworzyć nie może!

— Wcale nie prawda, — broni się Anielka, przecierając piąstkami oczy. — Gdzie moje bućki?

— Tutaj. Już ci oczyściłam, — uśmiecha się do niej siostrzyczka Milusia.

Gdy wszystkie dzieci są już w pończoszках i bućkach, matka daje im dwa wielkie ręczniki i duży kawał mydła.

— Umyjcie się tylko porządnie, — rozkazuje. — A pośpieszcie się, żebyśmy do kościoła zapóźno nie przyszli i nie potrzebowali się wstydić sąsiadów.

Dzieciaki chwytają ręczniki, Stasiek porzuca w powietrzu mydło i wszyscy biegną gęsiego do pobliskiego strumyka.

— Ja pierwsza! — woła Anielka, opuszczając z ramion koszulkę.

— Ja drugi! — woła Stasiek.

— Ja trzeci! — piszczy Milusia.

— Ja czwarty! — drze się na całe gardło Romek.

Wszyscy pochylają się nad wodą, myją twarze, szyję i ramiona, a potem wycierają się grubymi ręcznikami. Śmiechowi i radości niema końca. Potem wszyscy rzędem siadają na brzegu i czeszą zmoczone włosy. Aniel-

ka ma rumiane policzki, jak jabłuszka dojrzewające na słońcu.

Na łące przy zagrodzie Styków stoi biała koza. Na szyi ma czerwoną wstążeczkę, a na niej zawieszony mały dzwoneczek. Ile razy koza się poruszy, zawsze dzwoneczek zadźwięczy wesoło. Teraz już i z kościołka dzwony się odezwały. Szeroką drogą śpieszą ludzie do Bożego Domu. Koza podniosła głowę. W zamyśleniu spojrzała w stronę kościoła, a przed nią na drodze ludzi coraz więcej i więcej. Ochoczo idą wszyscy do kościoła, stojącego na pagórku. Teraz już i koza nie namyśla się dłużej. Przez dziurę w płocie wyłazi na łąkę i kroczy w ślad za ludźmi.

— O, patrzcie, koza Styków idzie do kościoła! — woła Anielka, przyspieszając kroku.

— Chodźcie, chodźcie!

Rozweseleni ludziska odganiają białą kozę, ona jednak nic sobie z tego nie robi. Kilku zręcznymi skokami wyprzedza wszystkich, a dzwoneczek jej dźwięczy coraz głośniej. Chłopcy rozsypali się po drodze, aby kozę zatrzymać, ona jednak biegnie coraz prędzej, wpadła już na schody kościelne i prosto do otwartych drzwi. W drzwiach stoi stary Tomasz.

— Stój, stój! — woła, gdy koza chce wtargnąć do wnętrza kościoła. — Kóz nam nie potrzeba. Kościół jest dla ludzi!

Chwycił zwierzątko za rogi, a tymczasem nadszedł już parobek Styków i śmiejąc się, zagania ją z powrotem do domu. Niechętnie potrząsa koza swą śmieszoną bródką. Stoi jeszcze przez chwilę i spogląda w stronę kościoła.

— Jazda, do domu! — woła Wojtek.

Na łące witają radośnie kozę Anielka i jej rodzeństwo.

— Biedactwo, chciała się pomodlić trochę, — głaszcze kozę Anielka. — Zaczekaj, jak dorosnę, zabiorę cię z sobą do kościoła.

Niedługo jednak może Anielka gawędzić z kozą. Rodzice jej i rodzeństwo są już gotowi i wszyscy całą gromadką łączą się wkrótce z tłumem wiernych, udających się na niedzielne nabożeństwo.

Mała cyrkówka.

Pewnego dnia w szkole panowała niezmałconą cisza. Uczniowie i uczennice pisali, pochyleni nad tabliczkami i zeszytami, a słońce ciekawie zaglądało przez okno do izby szkolnej. Wtem ktoś zapukał do drzwi. Nauczyciel wstał, otworzył drzwi i po chwili wprowadził do szkoły czarnowłosą dziewczynkę.

— Cyrkówka,—rozległ się szmer wśród uczniów, którzy tę wiadomość poczęli sobie podawać z ust do ust.

Nauczyciel szukał w klasie wolnej ławki.

— Proszę pana, przy mnie może jeszcze ktoś siedzieć! — odezwała się z kąta Anielka. Była ogromnie zadowolona, gdy mała Lorka przy niej usiadła. Anielka знаła Lorkę. Ojciec Lorki kilka razy do roku przyjeżdżał do wsi i wybudował tu nawet kiedyś obszerną cyrkową szopę. Chłopcy mówili, że ojciec Lorki jest cyganem i że na zimę zawsze wyjeżdża do gorących afrykańskich krajów.

Z otwartemi ustami przyglądali się uczniowie nowej koleżance. Lorka miała smagłą twarzyczkę, głębokie czarne oczy i ciągle się śmiała. Sukienkę miała czerwoną, a na szyi nosiła długi sznur szklanych paciorków.

— Pauza! — zawołał nauczyciel.

Koledzy i koleżanki otoczyli Lorkę ze wszystkich stron, przyglądając się jej z coraz większą ciekawością.

— Słuchaj, jeżeli Lorka wróciła z ciepłych krajów, to napewno może tylko jeść daktyle i figi, — szepnęła Anielka do ucha Elżuni, córeczce miejscowego sklepikarza.

— My mamy w sklepie figi, to jej wieczorem przyniosę,—odparła z dumą Elżunia.

— O, przynieś i mnie parę, abym mo-

gła Lorce podarować, — prosiła Anielka, — a ja ci dam zato jeszcze coś ładniejszego.

Elżunia skinęła główką na zgodę.

Po skończonych lekcjach, cała gromada dzieci odprowadziła Lorkę do domu. Nowa koleżanka mieszkała ze swymi rodzicami w długim niebieskim wozie, który stał tuż za szopą. Elżunia i Anielka zdobyły tego dnia kilka fig i daktyli. Z bijącymi serduszkami czekały, aż Lorka wyjdzie z niebieskiego wozu. Wyszła wreszcie.

— Masz to od nas, — zawołały jednocześnie, wręczając jej swoje dary. Lorka zaśmiała się. Zaprosiła dziewczynki na siódmą wieczorem, na przedstawienie. Anielka i Elżunia były uszczęśliwione.

Na godzinę przed rozpoczęciem przedstawienia siedziały już obydwie ramie przy ramieniu w pierwszych ławkach cyrkowej budy. Przed nimi znajdowała się arena. Po środku areny w obszernym basenie pływał ogromny zielony krokodyl. Buda powoli zaczęła wypełniać się ludźmi, którzy przyszli na przedstawienie. Wreszcie na arenie ukazała się matka Lorki. Była drobna, miała krótkie czarne włosy, ciemną cerę i grube rozchylone usta. W nosie i w uszach nosiła złote kolczyki, a całą szyję obwieszoną miała błyszczącymi monetami. Zaśpiewała jakąś

pieśń o gorących krajach, o lesie, słońcu, księżycu i gwiazdach. Potem ojciec Lorki odtńczył taniec cygański, a tańczył tak śmiesznie, że Anielka rozweseliła się odrazu. Nic podobnie zabawnego jeszcze nigdy w życiu nie widziała.

Wreszcie na arenie ukazała się Lorka. Miała na sobie błyszczącą krótką sukienkę, a żywy gruby wąż opasywał całe jej ciało. Ludzie zamarli z przestachu. Wąż począł syczeć. Anielka i Elżunia przytuliły się do siebie z lękiem. Swoim piszczącym dźwięcznym głosikiem Lorka poczęła deklamować piękny wierszyk o wężu.

— Każdy z państwa może węża dotknąć, tylko nie wolno go ścisnąć, — rzekła pod koniec i z wężem na szyi poczęła krążyć między publicznością.

Tutaj odwaga zupełnie zawiodła Anielkę.

— Ach, ach! — zawołała i chwyciwszy Elżunię za rękę, poczęła uciekać. Gdy jeszcze nadmiar złego krokodyl wysunął wielki łeb z basenu, wśród znajdujących się w cyrku dzieci zapanował popłoch. Krzycząc i płacząc, wszystkie dzieciaki poczęły się tłoczyć przy wyjściu. Omal się tam nie podusiły. Ale potem starsi chłopcy dostrzegli, że krokodyl znowu spokojnie zanurzył się w wodzie i że wąż na szyi Lorki przestał syczeć.

Teraz zaczęto się głośno śmiać i wszyscy wrócili na swoje miejsca, tylko Anielka została u drzwi i tam już przebywała do końca przedstawienia.

— Przecież taki wąż może także kiedyś ukąsić,—szepotała do siebie.— Nigdy już nie usiądę na pierwszym miejscu. — I dotrzymała słowa.

Ponieważ Lorka została jej najserdeczniejszą przyjaciółką, Anielka mogła codziennie przychodzić na przedstawienia do budy cyrkowej. Zawsze jednak stawała u wejścia. Gdy cyrkowcy wyjechali z wioski, Anielka, która przedstawienia cyrkowe знаła już na pamięć, poczęła urządzać je sama, mając za słuchaczy wiejskie dziewczynki i chłopców. Stasiak zazwyczaj w takich razach był wężem, a Anielka ku zdziwieniu wszystkich dzieci, deklamowała na pamięć ów piękny wierszyk Lorki o wężu. Pod koniec wierszyka zawsze zwracała się do swoich słuchaczy śpiewnym głosem:

— Moi państwo, możecie nawet dotknąć węża, tylko nie wolno go przyciskać!

Dzieci jednak tak mocno ciągnęły biednego Staśka za uszy, że za każdym razem postanawiał nie brać więcej udziału w przedstawieniu. Zazwyczaj każda taka zabawa kończyła się wielką kłótnią i bójką.

Zbieramy drzewo.

Liściaste drzewa przybrały się w jesienią szatę i połyskiwały szczerem złotem w jasnym słońcu. Ale w samym środku lasu, w pobliżu obszernej polany całe mnóstwo młodych drzewek pod uderzeniem siekiery waliło się na ziemię. W lesie rozwieliżniłi się drwale. Wycinali drzewa jedno po drugim, potem zaś obnażali je z gałęzi. Wszędzie słyhać było głośne uderzenia siekier. Przerażone ptaszęta przeskakiwały z gałęzi na gałąź z trwożliwym szczebiotem, a i przy tej robocie dokoła drwali uganiały się dzieci.

Dzieciaki przybiegały tu ze wsi, aby zbierać odrąbane gałązki i zanosić je do domu na opał.

— Te gałęzie będą dla mnie, — wołała Anielka, układając wiązkę zrąbanych gałęzi i związując je sznurkiem. — Stasiu, pomóż mi!—Obydwoje związali gałązki i pociągnęli je po pochyłości pagórka.

— Hau, hau, — szczekał Filuś, mały piesek sąsiada. Prawdopodobnie sądził, że tem szczekaniem pomaga dzieciom.

Anielka ciągnęła swoją wiązkę, a pot sływał jej strumieniami po twarzyczce. Gdy wreszcie dobrnęli do stromej pochyłości, Stasiak zaproponował:

— Siadaj na drzewie, ja cię pociągnę!

— Doskonale, — ucieszyła się Anielka. Uradowana usiadła na wiązce gałęzi, a Stasiak pędem począł zbiegać z pagórka. Pozostałe liście odrywały się od gałązek, fruując w powietrzu, zaś za dziwnym tym pojazdem biegł Filuś, szczerkając coraz głośniejsze. Anielka nie posiadała się z radości. Gdy znaleźli się już na dole, musiała znowu przez pewien czas drzewo dźwigać.

— Więc jesteście już tutaj? — wołała ku nim Milusia, którą spotkali po drodze, dźwigającą również drzewo.

Gdy drzewo zostało odstawione do domu, dzieci ponownie wracały do lasu. Zawsze przodem kroczył Stasiak, za nim biegł Filuś szczerkając. Przeskakiwał przez niskie krzewy, uganiał się za własnym ogonem i co chwilę wracał do rozbawionych dzieci.

— Chodź, schowamy się Filusiowi, — wyszeptwała w pewnej chwili Anielka.

Obydwie dziewczynki ukryły się pośpiesznie za grubym pniem drzewa.

— Filek! — zawołała Anielka piskliwym głosikiem.

Pies nastawił uszu, począł obwąchiwać trawę dookoła, poczem ruszył pędem i stanął tuż przed dziećmi.

— Ach, kochany z ciebie piesek, — głaskała go Anielka. — Idziemy dalej.

Pies chwycił zazwyczaj w takiej chwili dziewczynkę za sukienkę i poprostu wciągał ją siłą na sam szczyt pagórka.

— Znalazłam prześliczne szyszki, — chwaliła się Milusia, — chodź, Anielciu, poszukamy ich więcej.

Anielka natychmiast się zgodziła. Po drodze znajdowały szyszki zielone, orzechy na drzewkach leszczyny i nawet od czasu do czasu kilka grzybów.

— Spójrz, jaka piękna szyszka, — wołały dziewczynki co chwilę. — To musi być szyszka ze świerka. A może tu gdzieś siedzi wiewiórka.

Obydwie dziewczynki zaczynały spoglądać ku górze.

— Hop! Hop! — rozlegało się po lesie.

— O, Stasiek napewno znowu zjeżdża z drzewem, musimy się śpieszyć!

Anielka i Milusia znów biegły pędem w stronę drwali. Wkrótce znajdowały się na wierzchołku pagórka. Wogóle okres zbierania drzewa był najweselejszym okresem w życiu dzieci. Każdego wieczora cieszyły się myślą o następnym poranku. I tak minął cały tydzień. Zdarzało się nawet, że od cza-

su do czasu znajdowały w lesie jakąś spóźnioną jeżynę, a często dla urozmaicenia rozpałały niewielkie ognisko i piekły w popiele kartofle, czy jabłka.

W ostatnim dniu zbierania drzewa przytrafiło się jednak coś bardzo smutnego. Drwale zrąbali wysoką jodłę. Dwaj ludzie rąbali gruby pień siekierami, dwaj inni podtrzymywali drzewo. Filek, jak zwykle, biegał dookoła, wesoło szczekając. Trach! Jodła zwała się na ziemię, ale w tej samej chwili rozległo się głośnie zawodzące skomlenie. Potem cisza. Anielka przerażona podbiegła i co biedaczka ujrzała? Kochany, najmiłszy, wesoły pies Filuś leżał bez ruchu na ziemi, a wąska struga krwi ciekła mu z pyszczka i z nosa. Wysoka jodła przywaliła biednego psiaka.

— Czy on nie żyje? — zawołała Anielka, blednąc z przerażenia.

W tej chwili Filuś raz jeszcze otworzył oczy, zadrżał i znieruchomiał.

— Teraz już nie żyje, — rzekł jeden z drwali. — Szkoda biednego stworzenia.

Anielka przyklękała na ziemi i poczęła głucho szlochać.

— Ach, biedny, kochany Filuś, dlaczego ci się stało takie nieszczęście!

Filus jednak nie słyszał i nie poruszył się. Rodzeństwo Anielki otoczyło go dookoła, wszyscy gorzko płakali.

— Moglibyście go pochować, — rzekli drwali.

Wówczas Anielka podniosła się i ciągle jeszcze szlochając, oświadczyła:

— Ja go sama zaniosę.

Wzięła pieska na ręce, a bracia i siostry wolno postępowali za nią. Na maleńkiej polance na skraju lasu Stasiek i Stefan wykopali dołek. Milusia i Lodzia wyłożyły dołek zeszlęmi liśćmi i na nich dopiero Anielka ułożyła martwego Filusia. Przykryły go dzieci mchem świeżutkim, potem zasypały ziemią.

— Wystrugam z drzewa krzyżyk, — zaproponował Stasiek, — zatkniemy go na grobie, abyśmy mogli to miejsce łatwo odnaleźć.

Wszystkie dzieci przyjęły tę propozycję w milczeniu. Każde z nich drżącym głosem wyszeptalo:

— Zostań w spokoju, biedny Filusiu — poczem wszystkie w milczeniu odeszły do domu.

Drwale pracowali już teraz w dolinie. Rznęli piłami zwalone pnie drzew, rąbali je na krótkie polana i układali w równiutkie

stosy. Anielka odtąd przechodziła koło nich w milczeniu. Nie interesowały jej nawet wesołe piosenki drwali, ani ich żarty. Anielka była bardzo smutna i ciągle myślała o Filusiu, który już nie żył.

Ż a b k a.

Jesienny wiatr dał przez całą noc i z drzew owocowych pospadało na ziemię mnóstwo jabłek i gruszek.

— Weź ten duży koszyk i pozbieraj owoce, — rzekła rano matka do Anielki.

Dziewczynka skrzywiła się. W izbie było teraz stanowczo przyjemniej, niż na wilgotnej trawie. A pozatem jeszcze coś zniechęcało Anielkę. Anielka panicznie bała się żabek, które przecież mieszkają tam, gdzie trawa jest najwilgotniejsza. Matka jednak kazała, więc trzeba było słuchać. Wzięła Anielka z niechęcią koszyk i poszła.

Niebo było chmurne, trawa zupełnie mokra. W wilgoci tej marzły bosc nóżki Anielki, szła jednak ochoczo przed siebie, patrząc wciąż w ziemię. Doszła wreszcie do wąskiego strumyczka, który musiała przeskoczyć. Ale niestety! Nad samym brzegiem siedziała wielka zielona żaba, przyglądając się Anielce pełnym zaciekawienia wzrokiem. Gdy dziewczynka postąpiła je-

szcze jeden krok naprzód, z wody wyskoczyły dwie inne żabki i również poczęły jej się przyglądać. Jedna żabka poprostu usiadła na bosej nóżce dziewczynki. Anielka krzyknęła z przerażenia. Strząsnęła żabkę z nogi i cofnęła się. Znalazłszy się na nieco suchszej murawie, złożyła ręce i poczęła się modlić:

— Drogi Boże, spraw, żeby mi żabki nic złego nie zrobiły. Pomóż mi, drogi Boże. Amen.

Po odmówieniu tej modlitwy Anielka odczuła ulgę. Ostrożnie poczęła posuwać się naprzód, przeskoczyła strumyk i dopiero wówczas odetchnęła głęboko. Ale niedługo była spokojna, bo oto na przeciwległym brzegu ujrziała znowu całe mnóstwo zielonych żabek, wskakujących weselo do mętnej wody. Anielka przyglądała się żabkom przerażonym wzrokiem. Poczęła iść dalej na palcach. Znalazłszy się pod drzewami owocowymi, bez namysłu zaczęła zbierać leżące na trawie jabłka i gruszki. Koszyk jej stawał się coraz cięższy, aż wreszcie z trudem mogła go podnieść z ziemi. Nie to jednak przerażało Anielkę, przerażała ją jedynie myśl o żabach. Ciężki swój koszyk zarzuciła na wątle plecy i ostrożnie znów poczęła się skradać do strumyka, a gdy nad brze-

giem ujrzała siedzące zielone żabki, odzawała się do nich błagalnie:!

— Prawda, żabki, że mi nic złego nie zrobicie?

Żabki widocznie wzruszyły się tą prośbą, bo tym razem dały Anielce spokój. Dziewczynka poczęła teraz biec, ile tylko w nogach sił starczyło. Gdy znalazła się na piaszczystej śnieżce, postawiła na ziemi swój koszyk i obejrzała się lękliwie. A może żabki ją goniły? Nie! Teraz dopiero Anielka naprawdę swobodnie odetchnęła.

Matka bardzo się uradowała, widząc Anielkę wracającą z pełnym koszykiem owoców. Przecież pracowita jest jej córeczka! Anielka postanowiła nic w domu nie opowiadać o swoim przestרחu. Wzięła ze stołu kawałek chleba i usiadła w izbie przy ogniu. Na szczęście tam nie groziło jej żadne niebezpieczeństwo ze strony zielonych żabek.

W chlewiku.

Pierwsze płatki śniegu sfrunęły z nieba na poczerniałą ziemię. Anielka stoi przed domem i płacze cichutko. Właściwie sama nie wie, czego płacze. Od czasu do czasu uspokaja się i rozgląda dokoła, potem zaczyna płakać na nowo, a głosik jej jest taki dziwny,

że właściwie niewiadomo, czy dziewczynka płacze, czy śpiewa.

— Bądź wreszcie cicho, — woła Wojtek, parobek gospodarza Styka.

Wojtek postawił tuż przy Anielce szaflik dymiących ziemniaków i wszedł do chaty. Jedzenie dla świń. Anielka już nie płacze. Rogiem fartuszka wyciera oczy i podbiega do szaflika. Ach, jak smakowicie pachną ziemniaki! Anielka odczuwa nagle dokuczliwy głód.

— Wojtek! — woła. — Wojteczku!

— Czego tam znowu?

— Czy mogę wziąć jeden kartofel?

— Jak ci się podoba.

Anielka pośpiesznie chwytła kartofel z szaflika, ściąga palcami brązową łupinę i zanurza ząbki w miękkim kartoflu. Teraz jest zupełnie zadowolona.

Wojtek po chwili wychodzi, wynosząc z izby kubek pełen pomyj. Ugina się pod ciężarem kubła. W jednej ręce dźwiga kubek, a drugą rękę podnosi wysoko w górę. Wojtek idzie za stodołę. Anielka biegnie za nim.

— Wojteczku, co macie w tym kubie?

— Świńskie żarcie.

— Czy kartofle też tam są?

— Tak, naturalnie, pozatem odpadki ja-

ryzn, owoców, resztki zupy, mleka i woda, wszystko razem pomieszane.

— I świnię to lubią?

— Zaraz sama zobaczysz.

Wojtek i Anielka zbliżają się do małego chlewika. Właśnie tutaj mieszkają świnię. Słychać głośnie kwiczenie. Dwie świnki wysuwają ryje przez okienko w ścianie i kwiczą przeraźliwie.

— Dostaniecie, dostaniecie! — pociesza je Wojtek. — Nie hałasujcie tak!

Świnię kwiczą coraz głośnie.

Wojtek otwiera chlew i całą zawartość kubła wylewa do stojącego wewnątrz korytka. Rozlega się jeszcze głośniejsze kwiczenie, a potem cisza, świnię zaczynają jeść pośpiesznie. Wojtek bierze Anielkę na ręce i stawia ją na wysokim progu. Stamtąd dziewczynka doskonale widzi żarłoczne świnię.

— O, jak one prędko jedzą, — dziwi się, — przednie łapy wstawiły nawet do korytka. Teraz kłóć się o jakiś kartofel. A teraz w korycie już nic niema.

Wojtek zestawia Anielkę z progu. Bierze widły i wrzuca niemi czystą słomę do chlewa.

— No teraz mają świnię znowu porzą-

dek, — odzywa się Anielka. — Chyba są zadowolone, prawda, Wojteczku?

— Ja myślę, — śmieje się Wojtek. Bierze pusty kubek i wychodzi na podwórze. Anielka biegnie wciąż za nim, jak mały wierny piesek.

Święty Mikołaj.

Nareszcie, nareszcie nadszedł wieczór. Dzieci przez cały dzień trwały w ogromnem podnieceniu. Mimo dużego mrozu i śniegu, większą część wieczoru przebywały na ulicy. Oczy iskrzą się radością oczekiwania.

— Chodźmy już! — prosi Stefanek, który nie może dłużej ustać na mrozie.

— Tak, pójdziemy, — podchwytuje Weronka. — Zdaje się, że słyszę już dzwoneczek Świętego Mikołaja.

Chwila ciszy. Wszystkie dzieci uważnie nasłuchują, poczem nagle z piersi zebranych dobywa się zgodny okrzyk radości:

— Święty Mikołaj, Święty Mikołaj!

W szalonym pędzie biegną dzieciaki przed siebie.

— O, ja już nie mogę! — narzeka po chwili mała Geńka i idzie wolniej. Inni czynią to samo. Dźwięk dzwoneczków zbliża się coraz bardziej.

— Strasznie się boję, — szepcze półgłosem Weronka.

— Ja także, — przyznaje Lodzia.— Czuję, jak mi serce bije.

— A ja się więcej boję osła, niż Świętego Mikołaja, — dorzuca Anielka, mimo to jednak idzie wciąż naprzód.

Stefanek wybucha głośnym śmiechem.

— Tchorze jesteście, przecież osioł to także człowiek, tylko przykryty prześcieradłem, — oświadcza.

Wąska droga prowadzi do ciemnego lasu.

— My dalej nie pójdziemy, — zatrzymują się dziewczynki.

— To czekajcie tutaj, a my pójdziemy jeszcze kawałek dalej,—odpowiadają ch'opcy.

Anielka przyłącza się do chłopców, inne dziewczynki czekają niecierpliwie. Już teraz całkiem wyraźnie słychać dźwięk dzwonek, a potem znów nastaje cisza. Nagle głośne okrzyki!

— O, oni już są przy Świętym Mikołaju! — szepczą dziewczynki czekające pod lasem.

— Ja się strasznie boję!

— Chodź, weźmiemy się za rękę.

— W każdym razie trzeba stanąć tak, żeby móc uciekać,

Nagle z lasu wylania się Anielka. Bie-

gnie szybko, a potem zadyszana staje przed dziewczynkami.

— Święty Mikołaj jest w czerwonej masce i ma taki śmieszny cylinder obwieszony dzwoneczkami, — oznajmia.

— A jest z nim osioł, powiedz, osła widziałś? — pyta niecierpliwie Weronka.

— Chyba, że jest. To przecież także człowiek, przykryty białym prześcieradłem, ale ma taki wielki osli łeb i ciągle otwiera paszczę. Nie macie pojęcia, jak szybko biegnie! Stefanka o mało nie złapał.

— Idą, idą! — szepczą między sobą dziewczynki.

Z lasu wylaniają się wesołe głosy chłopców.

— Hop, hop, panie osle, hop, hop! — rozlega się dokoła.

W ochoczych podskokach osioł biegnie za dziećmi. Święty Mikołaj idzie wolniej. Ze dwadzieścia dzwoneczków dźwięczy i jego wysokiego kapelusza. Święty Mikołaj dźwiga na plecach ciężki worek. To dopiero musi być ciężar;

— Hop, hop, panie osle, hop, hop!

Święty Mikołaj potrząsa dzwoneczkami i podpira się sękatym kijem. Teraz naprawdę wygląda strasznie. Osioł otwiera wciąż paszczę, jakby chciał połknąć wszy-

stkie dzieci. Dziewczynki piszczą ze strachu, chłopcy się śmieją.

„Uciekajcie, ile tchu!
Bo Mikołaj jest już tu.
Do worka was załaduje
I przez wieś pogalopuje.”

Tę wesołą piosenkę zaintonował Stasiek, brat Anielki, a inni chłopcy natychmiast ją podchwycili.

— Hu, hu! woła Święty Mikołaj, potrząsając dzwoneczkami.

Anielka zgrzała się ze strachu, jakby to było lato. Biegnie ciągle na przedzie. Wreszcie całe towarzystwo doszło do wsi. Święty Mikołaj wstępuje jednak do bogatszych domów. Dzieci ciekawie zaglądają przez okna. Widzą, jak Mikołaj z osłem wchodzi do izby, jak Mikołaj potrząsa dzwoneczkami i jak osioł tańczy. W wielu zagrodach Święty Mikołaj i osioł dostają po kawałku ciasta, czy też jakąś monetę. Dzieci towarzyszą Mikołajowi od zagrody do zagrody i odprowadzają go jeszcze kawałek w pole. Potem dopiero wracają.

— Jesteście wreszcie! — mówi matka Anielki do dzieci, które prześcigają się w opowiadaniu.

Przed udaniem się na spoczynek, dzie-

ciaki nie zapominają o rozłożeniu swych pończoszek na piecu. Wierzą w to przecież, że Święty Mikołaj w nocy nasypie im do pończoszek orzechów i jabłek, bo każde dziecko tej nocy powinien obdarować. Już teraz, kładąc się spać, radują się dzieciaki, na samą myśl, że jutro w pończoszkach znajdą podarunki.

Śmuty dzień.

Anielka stoi za plecami ojca w warsztacie. Przygląda mu się uważnie, jak pociąga pendzlem, jak zanurza go potem w kubelczku z farbą i farbę tę rozciera na płótnie. Ojciec Anielki maluje chorągiew. Najbardziej tę pracę lubi, a napewno żaden malarz nie potrafiłby tak pięknie chorągwi namalować. Wszyscy mieszkańcy wsi mają pod tym względem zaufanie do ojca Anielki. Ale gdy ojciec maluje coś ładnego, wszystkie dzieci muszą zachowywać się spokojnie. Od czasu do czasu ojciec oddala się od chorągwi i przygląda się swemu dziełu krytycznie. Potem zbliża się znowu i maluje dalej. Wymalował już ogromny zielony wieniec z liści. Teraz pracuje nad czerwoną szarfą. Na dole jeszcze będą złote litery, Anielka wie napewno. Nagle ojciec się odwraca.

— Jesteś tutaj? — pyta zdziwiony. —
Leć po Romka i Staśka! Niech mi oskro-
bią kij ze starej farby, abym go mógł na
nowo pomalować.

Anielka wychodzi. Po chwili wraca
z braćmi. Ojciec daje każdemu z chłopców
ostrzy nożyk i każe im wziąć się do roboty.
Anielka jednak wciąż przygląda się ojcu.
O, jakże kocha tego swego tatusia! Jak on
ślicznie maluje, a czasami to nawet pozło-
cić potrafi tabliczkę na czyimś grobie i ta-
bliczka później wygląda, jak nowa. Tak,
ojciec wszystko potrafi! Anielka jest z niego
dumna.

— Gotowe! — mówi w pewnej chwili
Romek, odkładając nożyk. Tymczasem zapa-
da wieczór i ojciec już dalej nie może pra-
cować.

Przy wieczerzy mówi do matki:

— Dzisiaj jestem zadowolony z dzieci,
bo mi pomagały.

Nagle wstaje od stołu i podchodzi do
okna.

}— Źle jedzicie, nie po tej drodze! —
woła, wychylając się. — Wróćcie!

Dzieci również do otwartego okna pod-
biegają. Jakiś pijany człowiek siedzi na wo-
zie i jedzie tuż nad brzegiem rzeki.

— Wróćcie! — woła ojciec Anielki raz jeszcze, ale pijak nie słyszy.

— Muszę pójść tam i zawrócić pijaka, bo gotów wpaść do rzeki, — mówi po chwili do matki. — Jedźcie dalej wieczерę nie czekajcie na mnie! — Potem wychodzi i bardzo długo nie wraca.

— Gdzież się ten ojciec podziewa? — niepokoí się matka, wyglądając wciąż przez okno.

A potem następuje coś bardzo przykre-go. Do izby wchodzi jeden z sąsiadów.

— Koń poniósł — opowiada matce, — i poturbował waszego męża.

Po chwili dwaj ludzie wnoszą ojca do izby. Przywożą z miasteczka lekarza. Matka przez całą noc płacze. Dzieci muszą natychmiast pójść spać i zachowywać się spokojnie. Z wtulonemi główkami w poduszki, dzieci cichutko szlochają. Tak wesoło było, a nagle zrobiło się tak smutno!

Boże Narodzenie.

Uroczystość choinki w szkole miała się ku końcowi.

— Brr, jak zimno — jęczała Anielka — żebyśmy się już jak najprędzej do domu

dostali! — i szczerzej owinęła szyję wełnianym szalikiem, a ręce wsunęła w rękawy szubki.

— Mnie też zimno — dorzuciła Lodzia, której aż zęby szczękały.

Siostrzyczki przytuliły się mocniej do siebie. Przed nimi maszerowali czterej braciszczkowie, którym z pod wełnianych czapek i grubych szali, tylko końce nosów było widać. Daleko miały dzieci do domu! Prawie godzinę wędrowały, aby zobaczyć choinkę w szkole sąsiedniej wioski, bo przecież w domu nie będą mieli w tym roku drzewka.

— Dzieci drogie — powiedziała matka — wiecie, że ojciec jest ciężko chory, więc nie będziemy mogli wam nic na gwiazdkę podarować. Idźcie na uroczystość choinki do szkoły i bawcie się dobrze.

Śnieg ostro chrzęścił pod nogami, gdy dzieci wracały do domu. Rozmawiały z sobą niewiele, bo mróz był siarczysty. Wreszcie zbliżyły się do rodzinnej wioski. Niemal we wszystkich oknach płonęły świeczki choinkowe.

— Raz... dwa... trzy... cztery... pięć... sześć... siedem, — liczyła mała Andzia. Jej cieniutki głosik brzmiał smutkiem.

— Cicha noc, święta noc, — rozbrzmie-

wało ze wszystkich chat wioski, dzieciom jednak było coraz smutniej na serduszkach.

Zmęczone wsunęły się cichaczem do izby. Powstrzymywały z wysiłkiem łzy.

W milczeniu zjedzono skromną wieczerzę. Chłopcy próbowali grać w coś, ale im jakoś nie szło. Najstarsza Amelka odsłoniła firankę u okna.

— Tam chociaż widać choinkę w mieszkaniu doktora — rzekła — chodźcie, popatrzemy trochę.

Dzieci ustawiły się przy oknie i patrzyły. W izbie zaległa cisza, cisza przepojona smutkiem.

I nagle u drzwi wejściowych rozległy się jakieś szmery. Któż to może być o tej porze? Dzieci poczęły nasłuchiwać. Zadzźwięczał cichutko dzwoneczek. Odeszły od okna. Dzwoneczek zadźwięczał znowu, coraz głośniejszy, coraz wyraźniejszy, teraz ktoś zapukał do drzwi. Drżąc z podniecenia, dzieci nie mogły ruszyć się z miejsca. Wreszcie matka drzwi otworzyła, a dzieciaki pobladły ze zdziwienia. W białej, długiej szacie, pokrytej płatkami śniegu, weszło do izby Dzieciątko Jezus. Niosło w małej rączce żarzące się świeczkami drzewko, obwieszone połyskującymi zabawkami.

— Dobry wieczór, dobra kobieto i grzeczne dzieci — rzekło Dzieciątko Jezus dźwięcznym głosikiem. — Widziałem, że u was w izdebce jest ciemno, dlatego tutaj przyszedłem. A czy byliście grzeczne przez cały rok? — dodało, zwracając się do dzieci — czyście pomagały matce i były posłuszne?

— Tak, odpowiedziała Anielka i złożwszy rączki, roziskrzonymi oczami zawisła na twarzy Świętego Dzieciątka.

Dzieciątko Jezus uśmiechnęło się.

— A mogłybyście teraz powiedzieć mi jakąś króciutką modlitwę? — zapytało.

Tym razem odezwała się najmłodsza Milusia:

— Przyjdź, Aniołku, do mnie z
[nieba,

Bo mi twojej łaski trzeba,

Albo weź mnie tam do siebie

Chcę zamieszkać z tobą w niebie.

[Amen.

Za nią każde z dzieci wypowiedziało jakąś króciutką modlitwę.

— Bardzo ładnie, — pochwaliło święte dzieciątko. — A teraz zobaczcie, co tu dla was przyniosłem. Stasio i Romek muszą mi pomóc wnieść te dary do izby.

I po chwili Dzieciątko Jezus obdarowa-

ło wszystkich. Matka dostała dwie paczki: wełny i ciepły szlafrok.

— To podarunek dla dobrej matki, — rzekło z uśmiechem Dzieciątko. — A szlafrok przyda się ojcu, gdy wyzdrowieje. Trzeba mieć cierpliwość, dobra kobieto!...

Łzy nabiegły matce do oczu. Dzieciątko Jezus ścisnęło serdecznie jej rękę na pocieszenie. Teraz każde z dzieci otrzymało swój podarunek. Anielka, która dotychczas bawiła się tylko drewnianymi lalkami, obdarowana została prawdziwą lalką o woskowej główce. Milusia otrzymała piękne pudełko z nićmi i igłami, Amelka — piórnik z ołówkami i szyferkami, a Lodzia prześliczną książką z bajkami. Na dodatek każda z dziewczynek dostała garść orzechów i pierników. Chłopcy otworzyli szeroko oczy, gdy Dzieciątko Jezus darowało każdemu z nich ciepłe szaliki i piękne scyzoryki składane. Otrzymali oni również orzechy i pierniki. Potem każde z dzieci uścisnęło dłoń Świętemu Dzieciątku, szepcząc nieśmiało:

— Dziękuję.

Niby we śnie stali po środku izby, nie wierząc temu, co się działo przed ich oczami.

— Bądźcie dzielne, drogie dzieci, pomagajcie swej matce, ile kto może! —

rzekło Święte Dzieciątko. — A jak grzeczne będziecie, znowu na przyszły rok tu do was przyjdę. A teraz wszystkie razem zaśpiewajcie mi jakąś pioseneczkę.

Cichutko, niepewnie dzieci poczęły śpiewać:

Wśród nocnej ciszy

Głos się rozchodzi...

Głosiki ich jednak z każdą chwilą stawały się dźwięczniejsze i z każdą chwilą nabierały więcej odwagi. Oczy gorzały radością, a gdy kończyli radosną kolędę, serduszka omal nie wyskakiwały im z piersi.

Dzieciątko Jezus odeszło. W izdebce, w której przedtem panował taki smutek, teraz było gwarno i wesoło.

— Jaki mam śliczny szalik! — chwalił się Stasiek.

— A zobacz moją książkę — nastawiała Łodzia, — zobacz, jakie w niej są obrazki.

— A moje pudełko z nićmi i igłami!

— Chodźcie, wypróbujemy nasze scyzoryki, czy są ostre!

— Te szyferki starczą mi na długo, bardzo długo!

— A spójrzcie, jakie piękne bomby wiszą na drzewku!

Tylko Anielka siedziała w milczeniu

w kącie, przyglądając się woskowej twarzy swojej lalki. Takiej lalki jeszcze nigdy w życiu nie widziała, poprostu bała się ją poruszyć. Ta lalka pochodziła napewno od aniołka w niebie i sam aniołek musiał ją zrobić. Idąc spać, Anielka posadziła lalkę na krześle przy łóżeczku, a w nocy od czasu do czasu wyciągała rękę, aby się przekonać, czy lalka tam jeszcze była. Widocznie woskowa lalka nie miała zamiaru odejść od Anielki, bo gdy dziewczynka nazajutrz rano wstała, lalka siedziała na tem samym miejscu, przy jej łóżeczku.

Pożegnanie.

Ojciec był coraz bardziej chory. Cichy i blady leżał na poduszce, nie mogąc się nawet poruszyć. Został kaleką, słyszała Anielka, jak ludzie mówili i widziała, jak robili poważne miny. Ojciec także miał minę poważną i spoglądał na dzieci ze smutkiem. Czasami tylko łzy spływały mu po policzkach, gdy głaskał wychudłą dłońią ciemne, wijące się loki Anielki. Wówczas, Anielce ciężar jakiś spadał na serduszko. Pewnego dnia zabroniono dzieciom wchodzić do izby, w której ojciec leżał. Musiały nawet jeść obiad w chacie sąsiadów i w tym celu wszystkie dzieci zabrały z domu swoje łyżki. Anielka prawie nic tego dnia nie jadła.

— Wiesz, twój ojciec napewno umrze,—
rzekła Cesia pewnego wieczoru.—Moja ma-
ma dzisiaj o tem mówiła.

Anielka gwałtownie potrząsnęła główką:

— Nie, nie, to nieprawda, nie powin-
naś tak mówić! — jęknęła, bliska płaczu —
Mój tatuś wyzdrowieje.

Jednakże w nocy, gdy Anielka smacznie
spała, obudziła ją matka i każąc narzucić
sukienkę, wprowadziła tam, gdzie ojciec od
tyłu tygodni leżał. Przed domem stał wóz,
którym ojca miano odwieźć do szpitala. Ja-
cys dwaj ludzie okrywali chorego kocami.

— Chodźcie, dzieci, pożegnajcie się z
ojcem, bo jedzie do miasta do szpitala, —
wyszeptała matka przez łyzy.

Ojciec również płakał. Każde dziecko
przytulał czule do piersi.

— Bądźcie grzeczni i posłuszni matce!—
zawołał, gdy obcy ludzie wynosili go z do-
mu. Matka także wyszła. Obcy ludzie wsied-
li na wóz i wóz odjechał.

— Tatku, tatku!—wołało ośmioro drob-
nych dzieci, ale ojciec nie wrócił.

— Chodźcie,—rzekła najstarsza Amelka
do młodszych siostrzyczek i braciszków i za-
prowadziła ich wszystkich z powrotem do
łóżek.

— Tatusiu, tatusiu, wróc do nas zno-

wu! — szlochała Anielka, wtulając zapłakaną twarzą w poduszkę!

Nieco później.

Dopiero nazajutrz wieczorem matka wróciła do domu. Twarz miała zasmuconą i prawie nic nie mówiła. Gdy dzieci już spały, ona jeszcze wciąż siedziała w izbie i wsparłszy głowę na dłoni, tonęła w głębokiej zadumie. Często Anielka widziała, jak łzy spływały po policzkach matki. W dzień jednak matka robiła wszystko tak, jak dawniej. Patrząc na nią, pochyloną nad robotą, dzieci uspokajały się również, wszyscy jednak ustawicznie myśleli o ojcu.

A kiedyś, jednego z ostatnich dni roku, gdy Anielka w południe stała przed domem, przyszedł listonosz który przyniósł depeszę.

Matka otworzyła depeszę drżącymi rękami i zbladła.

— Dzieci, ojciec umarł, — rzekła bezdźwięcznym głosem.

Wówczas zarówno chłopcy, jak i dziewczynki, wszyscy poczęli płakać, tylko matka, pomimo bólu nie mogła ani jednej łzy urocić. Z śmiertelnie bladą twarzą, wypowiadała wciąż jedne i te same słowa:

— O, mój Boże, o, mój Boże!

Po chwili i babcia weszła do izby. Rów-

niez płakała. Proboszcz przyszedł z wizytą i dłuższy czas rozmawiał z matką, pragnąc ją pocieszyć. Sąsiedzi też zaczęli przychodzić, przychodzili mężczyźni i kobiety, starając się uspokoić matkę.

— Wszyscy będziemy wam pomagać w ciężkiej chwili, — zapewniali.

Wszyscy byli smutni i ocierali łzy. Tylko matka wciąż jeszcze nie płakała.

Następnego dnia pojechała z babcią do miasta, poczem wróciła, smutniejsza jeszcze, niż przedtem. Po kilku dniach w sąsiednim miasteczku kupiono dla czterech dziewczynek czarne fartuszki z szelkami. Matka ciągle jeszcze nic nie mówiła. Siedziała w kuchni, patrząc w okno i powtarzając:

— O, mój, Boże, o, mój, Boże!

A później znowu zalegała martwa cisza.

Anielka niepokoiła się, że i matka zachorowała, zresztą miała rację. Pewnego dnia sąsiad poszedł nawet po doktora. Doktor dłuższy czas rozmawiał z matką i wreszcie po tej rozmowie matka po raz pierwszy zaczęła płakać od śmierci ojca. Po tym płaczu zrobiło jej się lepiej. Pracowała już teraz od wczesnego ranka do późnego wieczora i wszystko wracało do dawnego porządku, wszystko było tak, jak przedtem, tylko ojca brakowało. W warsztacie zjawił

się obcy człowiek, który zamiast ojca pracował. Anielka najbardziej ze wszystkich dzieci nad tem cierpiała. Rozumiała teraz dobrze, dlaczego matka tak często płacze.

Doktor – czarodziej.

Śnieg padał. Lekko i wolniutko opadały duże płaty na ziemię, okrywając ją miękką, białą kołderką. Anielka siedziała w ciepłej izbie. W zamyśleniu przyglądała się dużej brodawce na wskazującym palcu swej prawej ręki. Doktor Wardas mógłby tak zrobić, żeby brodawka zniknęła, ale Anielka nie miała ochoty pójść do niego. Lękała się go dziwnie, bo zawsze miał gniewną minę i nigdy nawet na nią nie spojrzał, gdy spacerował po swoim ogrodzie. Niejednokrotnie gniewał się, gdy dzieci na ulicy śpiewały i hałasowały.

Tak, doktor Wardas był przeważnie nie w humorze. Wprawdzie matka chwaliła go przed wszystkimi, on również często zaglądał do izby, szczególnie teraz, kiedy matka płakała po śmierci ojca. Zazwyczaj podczas takich wizyt był bardzo miły, a potem przysłał przez służącą kosz rozmaitych prowiantów.

Anielka wiedziała o tem, mimo to jednak dziwnie go się bała.

— Mamusiu, — odezwała się po chwili namysłu, — jakbym się mogła pozbyć mojej brodawki?

Matka spojrzała na Anielkę z nad roboty.

— Acha, znowu oglądasz swoją brodawkę, — rzekła. — Włóż buciki i idź do doktora Wardasa. Z pewnością doktor na to zaradzi.

Anielka wzruszyła niechętnie ramionami, matka jednak upierała się przy swoim.

Dom doktora znajdował się po przeciwnej stronie ulicy i otoczony był dużym ogrodem. Anielka ostrożnie wstąpiła na kamienne schodki, otrząsnęła śnieg z bucików i stanąwszy na palcach, pociągnęła rączkę błyszczącego dzwonka u drzwi. Dzwonek zadźwięczał wyraźnie wśród ciszy panującej wewnątrz domu. Po chwili na progu ukazała się służąca.

— Coś chciała? — zapytała przyjaźnie.

— Chciałam... do pana doktora... w sprawie mojej brodawki, — jąkała się Anielka.

— Zapukaj do tych drzwi, pan doktor jest u siebie w gabinecie.

Anielka jeszcze przez chwilę stała przed drzwiami bez ruchu. Serduszko jej biło mocno. Wreszcie zapukała.

— Proszę wejść! — zawołał doktor.

Anielka z przerażeniem otworzyła drzwi i weszła do pokoju. Ale, mój Boże! Posadzka była taka śliska i taka błyszcząca. Pod podszwami bucików Anielki było jeszcze tyle śniegu! Dziewczynka poślizgnęła się i padła do nóg zdziwionego doktora.

— Co ci się stało? — zapytał doktor ze śmiechem, spoglądając za zaczerwienioną dziewczynkę figlarnie, z poza szkieł okularów.

Anielka pośpiesznie wstała i drżąc na całym ciele, pokazała doktorowi swój wskazujący palec.

— Ma... mam... tutaj brodawkę, — wyjąkała. — Może pan doktor będzie taki dobry i mi to zdejmie.

Doktor przez pewien czas uważnie oglądał brodawkę.

— Idź do domu, a zobaczysz, że brodawka do jutra zniknie — rzekł już gniewnym tonem.

Anielka podziękowała i wyszła. Odechnęła swobodniej, gdy się znalazła znowu na ulicy. Przez cały dzień czekała niecierpliwie zniknięcia brodawki. I istotnie! Z dnia na dzień brodawka stawała się mniejsza, aż wreszcie zupełnie zniknęła. Po dwóch tygodniach Anielka prawie o niej zapomniała.

Więc nie napróżno w całej wiosce nazywano doktora Wardasa „Czarodziejem”!

P o s z k o l e .

Anielka wbiegła do izby. Matki nie było w domu, ale na stole leżało osiem kupiek pokrajanych owoców i osiem kawałków chleba. Romek i Stasiek sięgnęli po swoje porcje. Zgłodniiali, zatopili ostre zęby w kromkach świeżego chleba. Anielka również wzięła ze stołu swoją porcję i cichutko usiadła w kącie. Po chwili zjawiła się reszta rodzeństwa i stół się wkrótce opróżnił.

— Chodź, Romciu! Pójdziemy do mamy w pole, — odezwał się Stasiek po cwili.

— Tak, a my musimy pojechać po nawóz, — zwróciła się Anielka do Stefka. — Weź teczki ze stodoły!

Po chwili już Anielka dreptała obok taczek, które popychał przed sobą Stefek. Na ramieniu niosła łopatkę i miotłę, a minkę miała niezwykle dumną. Nagle Stefek zaczął biec szybko. Dostrzegł gdzieś w od dali kupkę nawozu.

— To moje! — ryknął Henio sąsiadów, który również wybrał się z taczkami na poszukiwanie.

— Właśnie, że nasze! — zaprotestowała Anielka i pośpiesznie wrzuciła nawóz łopatką do taczek Stefka. — Idź sobie i szukaj gdzieindziej nawozu!

Ale Henio nie dał się przekonać.

— Przecież nie wynajęłaś tej drogi, więc mogę szukać, gdzie mi się podoba. — I począł wolno kroczyć za rodzeństwem.

Stefek po chwili znalazł drugą kupkę nawozu i tak dotarli do gospody „Pod niedźwiedziem”. Tutaj Anielka zawołała z radością:

— Stefcu, stoi fura z mąką!

Istotnie, mnóstwo ciężkich worków leżało na wielkim wozie, do którego zaprzężone były dwa konie. Konie jadły owies. Woźnica ostrym nożem krajał chleb na kawałki i wrzucał koniom do sakwy. Potem sam wszedł do gospody. Anielka i Stefek przystanęli w pobliżu koni, które tak bardzo kochali. Chleb pachniał zachęcająco.

— Podzielimy się tym chlebem, — zaproponowała Anielka Stefkowi, — raz ty weźmiesz, a raz znów ja.

Stefek zaproponował, aby do spółki przyjąć jeszcze Henia. Podzielono się chlebem prędko i wreszcie konie nie miały ani kawałka. Tymczasem woźnica wyszedł z gospody i wóz odjechał. Henio, Stefek i Aniel-

ka popychali swe taczki tuż za wozem. Wyczekiwali tęsknie, aż któryś z koni podaruje im kupkę nawozu, wówczas ładowali ten nawóz natychmiast na swoje taczki.

W pewnej chwili jednakże wynikła między dziećmi zacięta sprzeczka. Henio począł wołać uparcie:

— Teraz to moje!

A Stefek jeszcze głośniej:

— Nie, złodzieju, to nasze!

Wreszcie obydwaj chłopcy chwycili się za włosy, a Anielka poczęła okładać biednego Henia swoją miotłą. Henio nie był silnym chłopcem, zaczął nagle płakać i przysiadł bezradnie na swoich taczkach. Anielce żal się Henia zrobiło.

— Słuchaj, Stefciu, oddajmy Heniowi tę kupkę nawozu! — zwróciła się do brata z prośbą. — Przecież jego taczki są prawie puste.

Z zapalem poczęli przerzucać na piękniejszy nawóz do taczek Henia.

— Teraz już jesteś zadowolony? — zapytała Anielka.

Henio skinął głową i jak prawdziwi przyjaciele wszyscy troje popychali znowu swoje taczki. Wóz z mąką odprowadzili aż do sąsiedniej wioski, poczem z napełnionymi taczkami wracali w wesołym nastroju

do domu. Dawno już zapomnieli o swej kłótni i niby troje ptasząt, poczęli śpiewać w ten złocisty wiosenny wieczór.

W maju.

Łąki pachniały. Z pośród świeżej zieleni wysuwały główki niezliczone rodzaje kwiatów, główkami temi wesoło kiwając w rozmaite strony. Nad łąkami unosiły się ćwierkające skowronki, chrabąszcze brzęczały, a dokoła fruwały pszczoły, siadając od czasu do czasu na jakimś kwiatku. Posiedziały chwilę na świeżym kielichu, poczem odlatywały znów do swoich ulów.

— Macie już dosyć miodu? — pytała Anielka jakąś pracowitą pszczołkę, która właśnie sfrunęła z kwiatka. — Ale jak ty wyglądasz! Cała jesteś unurzana w żółtym pyłku kwiatowym!

Pszczołka otrząsnęła z siebie pyłek skrzydełkami i pyłek ten zleciał do maleńkiego „koszyczka” u samego końca tułowia pszczołki.

— O, przydałby ci się większy koszyczek, — zaśmiała się Anielka, — wyglądałabyś jeszcze zabawniej!

Pszczołka tymczasem odleciała w stronę cudownie kwitnącej gruszy. Tam spotkała się z całą gromadką swoich sióstr i braci.

Wszystkie pszczołki fruwały i brzęczały wesoło. Anielka z zachwytem spoglądała na gałęzie drzew.

— Wyglądają, jak wielkie bukiety kwiatów, — myślała, idąc dalej.

Na skraju pobliskiego lasu przystanąła. Brr, przyfrunął majowy chrabąszcz i przeleciał jej tuż koło nosa. Potem drugi i trzeci! A w górze, w zielonych konarach drzew siedziało ich całe mnóstwo. Wszystkie rzuciły się łakomie na młodziutkie listki.

— Czekajcie, paskudne chrabąszcze, już ja się z wami rozprawię! — wołała gniewnie Anielka.

W zeszłym roku któregoś dnia razem z braćmi udała się na łąkę. Właśnie pod tem drzewem rozłożyli wielkie prześcieradło i potrząsnęli drzewem mocno. Istny deszcz chrabąszczy spadł z gałęzi na prześcieradło.

— W tym roku trzeba będzie to samo zrobić, — pomyślała Anielka, — bo chrabąszcze gotowe pozjadać wszystkie młodziutkie listki.

Z tem postanowieniem usiadła na skraju lasu.

Niebo mieniło się tysiącem barw. Ptaki śpiewały. Strumyczek szemrał tajemniczo, a z kwitnących drzew opadały miękkie białe płatki na łąkę. Łąka złociła się pod

wpływem promieni zachodzącego słońca. Błękitne oczy Anielki też nabrały złocistej barwy.

Jakaś wielka radość przepelniała jej serduszko. Zaczęła cichutko śpiewać. Po chwili szła dalej, śpiewając już jedną piosneczkę po drugiej, a gdy żadnej nowej przypomnieć sobie nie mogła, śpiewała te same piosenki od początku.

— Ale dzisiaj jesteś wesoła, — rzekła do niej gospodyni, gdy Anielka weszła do izby.

Dziewczynka uśmiechnęła się, a gospodyni podała jej całą garść suszonych owoców.

Anielka wybiegła znów z chaty na dziedziniec. Skakała i śpiewała. Serduszko jej przepojone było szczęściem którego właściwie nie знаła przyczyny.

Przedstawienie na strychu.

— Czy lina naciągnięta? — zapytała Anielka ze strychu.

Policzki dziewczynki kraśniały rumieńcem. Przecież o czwartej popołudniu ma się rozpocząć wielkie przedstawienie. Przez kilka wieczorów Anielka wraz ze Stefką przebywała u linoskoczka, który na placu targowym rozciągnął linę i na niej pokazywał precudowne sztuki. Gdy linoskoczek

wyjechał z wioski, Anielka nie zaznała już spokoju. Romek musiał jej przeciągnąć grubo sznur na strychu i wówczas dopiero rozpoczęła się uciążliwa praca. Anielka ćwiczyła i ćwiczyła z wzrastającym zapalem. Dzisiaj chciała taksamo, jak linoskoczek urządzić przedstawienie.

Nasmarowała swe opalone bosc stopy kredą, nie zapominając również o kolanach. Stefek włożył na siebie białą długą koszulę, bo miał na przedstawieniu być cyrkowym augustem. Na czole i policzkach Anielka wymalowała mu plamy kredą, a pozatem całą twarz umalowała mu czerwonym papierem, aby zabawniej wyglądał. Oprócz tego poczciwy Stefek uczesany został końskim grzebieniem i obydwójce z Anielką usiedli na sianie, czekając na widzów.

Wybiła czwarta. Przed stodołą uprzednio powieszono wielki plakat, na którym Romek wypisał dużemi literami:

„Wielkie przedstawienie, wejście dwa grosze”.

Jedna z siostrzyczek Anielki miała odbierać od widzów pieniądze. Jednem słowem wszystko dotychczas szło jak najlepiej. Przyszła już jasnowłosa Aneczka i jej przyjaciółka Lili, za niemi ukazały się jeszcze dwie dziewczynki, potem zjawił się Henryś

z młyna i przyprowadził ze sobą całą gromadkę śmiejących się chłopców i dziewczynek. Wszyscy zapłacili po dwa grosze i weszli na strych. Niecierpliwie oczekiwano początku przedstawienia.

Anielka weszła zręcznie po małej drabince, stanęła na belce przybitej do ściany, wsparła na wysokiej tyczce i wstąpiła ostrożnie na linę. W najwyższym podnieceniu dzieciaki się temu przyglądały. Anielka spróbowała liny, wsparła się znowu na tyczce, odrzuciła ją, postąpiła naprzód krok jeden, drugi, trzeci, czwarty, zachwiała się, oparła się o ścianę i znowu zręcznie krok jeden, drugi, trzeci, czwarty. Znajdowała się już pośrodku liny, zachwiała się, lecz równowagę znowu odzyskała. Jeszcze dwa małe kroczyki i Anielka w swej krótkiej sukience bez rękawów stanęła na belce, z dumą spoglądając na zachwycone dzieci. Nie spadła!

— Też mi sztuka! — zauważył półgłosem Henryś, ale natychmiast go zakrzyczano.

— To sam spróbuj, głuptasie! — zawołały dziewczynki ze wszystkich stron. — Napewno spadłbyś ze sto razy.

Anielka udawała, że tych pochwał nie słyszy. Zaczęła się wędrowka powrotna

i tym razem poszło jeszcze lepiej. Przy końcu przestała się nawet opierać o ścianę i biegła po linie lekka, jak piórko.

— Brawo, brawo! — klaskały w dłonie dzieci.

Teraz przyszła kolej na Stefka. Chłopcy i dziewczęta zaśmiewali się z jego wyglądu, ale dopiero wesoło się zrobiło, gdy Stefek począł próbować chodzenia po linie i zaraz po pierwszym kroku upadł na siano. Podniósł się jednak natychmiast i skoczył z najwyższego szczebla drabinki. Opowiadał przytem tyle zabawnych historyjek, że dzieci śmiały się do łez i tarzały po ziemi. To też oklaskiwano go rżęsiście.

— Ale niech Anielka nam jeszcze jakąś sztukę pokaże! — wołano.

Anielka najpiękniejszy występ zostawiła na sam koniec. Drobnymi kroczkami przeszła na sam środek liny, zatrzymała się na chwilę i wolniutko opuściła się na kolana. Dzieci były zachwycone. Na strychu zapanaowała martwa cisza, aż wreszcie Anielka podniosła się znowu i przeszła leciutko na sam koniec liny.

— Brawo! cudownie! — wołali chłopcy i dziewczynki.

Anielka skłoniła się, jak prawdziwy li-

noskoczek, Stefek zrobił jeszcze kilka śmiesznych skoków i zawołał głośno:

— Skończone!

Wolniutko wychodziły dzieci ze strychu. Anielka była uszczęśliwiona. Obydwoje ze Stefką obliczyli zarobek. Dwadzieścia cztery grosze mieli w czapce Stefka.

— Jak będziemy dorośli i urządzimy takie przedstawienie na placu targowym, to zarobimy napewno więcej, — oznajmiła poważnie Anielka. — Co sobie teraz kupimy za te pieniądze?

Cukierek.

Anielka i Stefek wesoło powędrowali do sklepiku i za zebrane z przedstawienia pieniądze kupili ogromny cukierek w kształcie głowy cukru. Wrócili potem na strych, ułożyli się wygodnie na sianie i poczęli ów cukierek lizać. Raz wolno było liznąć Anielce, raz znów Stefkowi z kolei, potem znowu Anielce i tak szło dalej.

— Wiesz, Stefciu, czekam tylko tej chwili, kiedy będę dorosła, — rzekła Anielka po kilku minutach milczenia.

— Dlaczego?

— Bo wtedy, jako linoskoczka pójde w daleki świat.

— O, to napewno kiedyś spadniesz i za-

bijesz się, — mruknął z niepokojem Stefek. — Ja tam bym nie chciał mieszkać w wozie, jak mieszkają wszyscy linoskoczkowie.

Anielka liznęła przeciągle cukierek i rzekła z dumą:

— Nie, nie, Stefciu, z pewnością nie spadnę. Ale jak to musi być cudownie chodzić sobie tak wysoko po linie, jak muzyka gra. Jestem pewna, że to strasznie przyjemnie. I pomyśl, takim wozem można pojechać, gdzie się tylko chce, nawet nad morze.

— Ale przez morze nie możesz pojechać, — upierał się Stefek.

— Owszem, będę mogła. Okręty są takie duże, że można na nie nawet wóz załadować.

— Tak, ale to bardzo drogo kosztuje, a tyle pieniędzy napewno nie będziesz miała, — zapalał się coraz bardziej Stefek.

— Wtedy będę strasznie bogata, co ty myślisz! — odparła Anielka, spoglądając na braciszka zgóry. — Nie widziałeś, jak linoskoczek pięknie był ubrany? Takie ubranie napewno dużo kosztuje, a potem wóz, taka długa lina i te lampy! Ale wiesz co, Stefciu, jak będę bogata, to kupię ci wszystko, czego tylko zechcesz! — Z temi słowy Anielka objęła ramionami szyję brata i znowu zgodnie poczęli lizać swój cukierek.

Po dłuższej chwili Stefek odezwał się tajemniczo:

— Wiesz co, Anielciu, ja także będę czemś wielkiem, jak dorosnę. Będę wtedy właścicielem wiejskiego sklepiku!

— To ja ci ten sklepik kupię, — uradowała się Anielka.

Stefek jednak nie chciał nawet o tem słyszeć.

— Nie, nie, sam go sobie kupię, będę miał mnóstwo pieniędzy w oszczędnościowej kasie. A ty będziesz mi musiała przysyłać rozmaite rzeczy z ciepłych krajów. Będziesz mi przysyłała cytryny, daktyle, pomarańcze, figi...

— Tak, tak, całe skrzynki ci przyślę, — zawołała Anielka, — może nawet cały okręt! Będziesz mógł jeść, ile ci się spodoba, a resztę sprzedać. Wtedy napewno też będziesz bogaty, prawda, Stefciu?

Stefek skinął potakująco głową i znowu obydwójce wrócili do lizania cukierka, który wreszcie stał się tak mały, że zniknął zupełnie w ustach dzieci. Wówczas dopiero obydwójce zdecydowali się zejść ze strychu.

W zamknięciu,

— Słuchajcie, słuchajcie! — wołała Anielka nazajutrz do Stefki i Weronki, —

znowu jakiegoś człowieka zamknęli w szopie strażackiej. Chodźcie prędko!

Dziewczynki przybiegły.

— Dokąd idziecie? — usłyszały za sobą zaciekawione głosy chłopców.

— Do szopy strażackiej. Kogoś tam zamknęli!

— My pójdziemy także!

Wkrótce gromada zaciekawionych chłopców i dziewcząt stanęła przed szopą. Na dole nie było ani jednego okna, bo do szopy tej strażacy miejscowi wstawiali zawsze tylko sikawki. U góry jednak znajdowały się dwie maleńkie zakratowane okienka.

— Tam jest, tam jest! — szepnęła Anielka, wskazując palcem okienko na górze.

Istotnie, jakiś człowiek wyglądał z poza żelaznych krat, zerkając na dzieci. Miał długą zwichrzoną brodę i poczochrane włosy. Posiadał jednak dwoje szarych dobrotliwych oczu.

— Dobry wieczór, — zawołały dzieci, trącając się łokciami.

— Dobry wieczór, — odpowiedział głos z za okienka.

— Zapytaj go teraz — szepnęła Weronka do ucha Anielce.

BIBLIOTEKA
BN
NARODOWA



— Ty go zapytaj, — rzekła Anielka cicho do Stefci, — ja nie mam odwagi.

Stefcia najprzód ochrzęknęła, a potem zawołała w górę do okienka:

— Dlaczego tu jesteście zamknięci?

— Ach, Boże — odpowiedział człowiek głosem pełnym smutku. — Nie mam pieniędzy i nie mam co jeść, więc musiałem chodzić po prośbie. Strażnik miejscowy przyłapał mnie i zamknął.

— Czy teraz też jesteście głodni? — zapytał gruby Józek z litością.

— Trochę głód odczuwam, — zaśmiał się człowiek.

Wówczas nagła myśl zaświtała w głowie Anielki.

— Wiecie co, przyniesiemy mu coś do jedzenia!

— Tak, naturalnie! — zawołała Manusia. — Ja przyniosę dwa duże jabłka.

— A ja duży kawał świeżego chleba. Chleb bardzo smakuje, jak człowiek jest głodny, — dorzuciła Cesia.

— Ja także przyniosę kawałek chleba! — zawołał Józek i pędem puścił się przed siebie.

— Tak, ale jak mu to wszystko podamy? — zapytała Weronka w zamyśleniu.

— Wrzucimy wszystko do okienka, —

odparła Anielka i zaraz spróbowała rzucić kamień, chcąc się przekonać, czy dosięgnie.

Weronka jednak potrząsnęła głową.

— Tak nie będzie dobrze, — rzekła; — to...

— Ach, ja mam pomysł! — zawołała Stefcia. — Rzucimy temu człowiekowi długi sznur, na którym będzie mógł wciągnąć wszystko na górę. Ja zaraz przyniosę taki bardzo, bardzo długi sznur.

— O tak, doskonale! — uradowały się Anielka i Weronka i zatańczyły z radością przed szopą.

Tymczasem wrócił już Józek z ogromnym kawałem chleba. Za nim szła Manusia, niosąc w każdej ręce duże rumiane jabłko.

— Ach, jak cudownie! — cieszyły się Anielka i Weronka, pokazując człowiekowi zamkniętemu w szopie chleb i obydwa jabłka.

Po chwili zjawiła się również zadyszana Cesia.

— Do chleba przyniosłem jeszcze garść suszonych owoców, — opowiadała. — Więc mamy teraz dwa kawałki chleba, dwa jabłka i owoce!

Dzieci nie posiadały się z radości i przyjaźnie spoglądały ku człowiekowi, patrzącemu na nie z poza żelaznej kraty. Uśmiechał się.

— Idzie Stefcia, idzie Stefcia! — zawołała nagle Anielka, biegnąc na spotkanie koleżanki.

Stefcia wymachiwała w powietrzu długim sznurem.

— Rzucę go zaraz do okienka, — rzekła, — ja przecież umiem najwyżej rzucać.

Wszyscy spoglądali na Stefcie z podziwem. Człowiek z za kraty wysunął na zewnątrz rękę, nie mógł jednak sznura uchwycić. Stefcia próbowała raz jeden i drugi, sznur jednak za każdym razem spadał z powrotem na ziemię. Teraz zaczęli próbować Józek i Stefek, później Anielka i Weronka, lecz żadne z nich nie mogło podrzucić wyżej.

— O, teraz już wiem, co mamy zrobić, — odezwała się nagle Anielka. — Przyniesiemy długą tyczkę, przywiążemy do niej sznur i podamy go temu człowiekowi.

— Tak, naturalnie, Anielka ma rację! — ucieszyły się dzieciaki.

— Ja zaraz tyczkę przyniosę, — zawołała Stefcia, — bo przecież mieszkam najbliżej.

I znowu pędem pobiegła do domu. Józek pobiegł za nią, aby jej pomóc.

Gdy obydwójce wrócili, przywiązali sznur do górnego końca tyczki, podnieśli tyczkę do góry i istotnie sznur znalazł się natych-

miast w ręce zamkniętego człowieka. Tyczkę teraz odrzucono na bok.

— Spuścić sznur! — wołały dzieci.

Sznur w tanecznych podskokach opadł na ziemię.

— Cesi, przywiąż swój chleb!

— Ciągnąć w górę!

— Ha, ha! — śmiały się dzieci.

Wolniutko kawałek chleba dotarł do zakratowanego okienka. Człowiek za oknem odwiązał chleb i podziękował.

— Spuścić sznur nadół! — zawołała znowu Anielka, skacząc z radości.

Sznur znowu opadł na ziemię. Tym razem przywiązano jedno jabłko.

— Wciągnąć w górę! — wołały dzieci i rumiane jabłuszko poczęło biec szybko ku górze.

Potem przywiązały dzieci drugi kawałek chleba, drugie jabłko i wreszcie na końcu w chusteczce Cesi—garść suszonych owoców, ciesząc się wciąż i klaszcząc w dłonie, gdy tylko ich dary dostawały się do okienka.

— Dobre z was dzieci, — rzekł człowiek z poza kraty. — Czy chcecie sznur z powrotem?

— Nie, nie, — zawołała Stefcia. — Jutro przecież znowu tu przyjdziemy. Teraz musimy już iść do domu, bo pora pójść spać.

— My także, — zawołała cała gromadka.

— A więc dobrej nocy, dzieci, śpijcie smacznie! — rzekł człowiek z okienka.

— Dobranoc, dobranoc, proszę teraz zjeść te wszystkie dobre rzeczy! — odpowiedziały dzieci i pobiegły wesoło do domu.

— To nie musi być zły człowiek, — myślała Anielka, — takich ludzi nie powinno się zamykać.

Wycieczka szkolna.

Anielka zadyszana wpadła do domu.

— Mamusiu, mamusiu! — wołała, — jutro jedziemy ze szkołą! Musimy jeszcze dzisiaj umaić wozy i przygotować coś na drugie śniadanie, dobrze mamusiu? A czy będę mogła włożyć białą sukienkę? i... i...

— Mamusiu, jedziemy, jedziemy, hurra! — wołali Stefek i Amelka, wbiegając również do izby. Ułożyli tabliczki i piórniki na stole, chwytając pośpiesznie po kawałku chleba.

— Sami będziemy przystrajali wozy, — opowiadali. — Umajone będą gałazkami choiny i kwiatami. Jakże to będzie prześlicznie!

Natychmiast po zjedzeniu posiłku, Anielka i reszta rodzeństwa zniknęli z domu.

Matka zato miała dosyć roboty. Zaczęła prasować białe sukienki dziewczynek i czyścić

bluzki chłopców. Wszystko było już przygotowane, gdy dzieci po kilku godzinach wróciły.

— Przynieście teraz swoje koszycki, oczyśćcie buty i umyćcie się porządnie! — rozkazała matka.

Zaczęło się mycie, które trwało bez końca. Twarze, szyje, nogi, buty, wszystko błyszczało odświeżnie, a dzieci wciąż jeszcze nie były zadowolone.

— Wiesz, chyba tej nocy wcale spać nie będę, — szeptała Anielka do ucha Stefkowi. — Strasznie się cieszę!

Matka zawołała dzieci na kolację, a potem kazała im się zaraz położyć. Położyły się, lecz długo, bardzo długo nie spały.

Wycieczka.

— Amelciu, chyba już trzeba wstawać, — szepnęła Anielka, ściągając kołdrę z siostry, aby się ta łatwiej obudziła.

Amelka jednak odpowiedziała cichutko:

— Nie, nie, śpij jeszcze. Przed chwilą słyszałam, jak biła druga.

Anielka westchnęła i przewróciła się na drugi bok. Tak długo noc jeszcze nigdy nie trwała. Ile razy otworzyła oczy, ciągle było ciemno. Wreszcie napowrót zasnęła.

Nagle Stefek zerwał się z pościeli i zawołał wesoło:

— Anielciu, wstawaj, już rano!

Anielka zerwała się uszczęśliwiona. Pośpiesznie narzuciła na siebie bieliznę i w kilka minut potem siedziała wraz z rodzeństwem przy stole, popijając gorące mleko. Później przebrała się w białą sukienkę, która była tak pięknie nakrochmalona, że lękała się poprostu jej dotknąć. Matka włożyła dziewczynkom białe kapelusiki z czerwonymi kwiatami i podała im napelnione jadem koszyczki, babcia zaś wsunęła każdemu do rączki jakąś monetkę i dzieci uszczęśliwione pobiegly do szkoły.

Przed szkołą zebrała się już spora gromadka uczniów i uczenic. Wszyscy byli odświeżnie ubrani, a oczy ich iskrzyły się radością. Dwa umajone wozy wyglądały również imponująco. Nawet konie były przystrojone i przy każdym ruchu potrzasały dzwoneczkami.

— Pilnuj kapelusza! — wołała żona Tomasza Szcześnika do swojej Elżuni.

Powroźnik Hilary wyjął z kieszeni portmonetkę i dał synowi dwadzieścia groszy.

— Bądź grzeczny, rozumiesz?

Chłopak skinął głową.

— Wsiadać! — rozkazał wreszcie nauczyciel.

Dzieci poczęły się tłoczyć, każde z nich chciało zająć pierwsze miejsce.

— Ach, moja sukienka! — jęknęła Anielka.

— Chodź, podsadzę cię na wóz, — rzekł nauczyciel. — Ale się dzisiaj pięknie ubrałaś! Czy wszyscy już są?

— Tak! — zawołali uczniowie.

— Więc możemy jechać.

Konie ruszyły z miejsca; dzyń, dzyń, dzyń dźwięczały dzwoneczki, a dzieci wydawały coraz głośniejsze okrzyki.

Niebo było ciemno-błękitne. Za wysokim lasem ukazała się tarcza wschodzącego słońca. Wznosiło się ono ponad doliną, rozpraszając mroki i śląc do każdego zakątka blask swych złocistych promieni.

— Hop, hop! — wołały dzieci, gdy blask słoneczny spoczął na ich główkach, — hop, hop!

Dzwoneczki dźwięczały wesoło i połyskiwały w słońcu, niby szczerze złoto.

— Szczęśliwej podróży! — wołali pracujący w polu ludzie, powiewając chustkami.

Jakiś wieśniak stał na drabinie, zrywając wiśnie z drzewka.

— Wsiądźcie na chwilę, to wam dam

wisien na drugie śniadanie, — zawołał do dzieci.

Chłopcy i dziewczęta poczęli zeskakiwać z wozów. Każde z nich chciało uczynić to zręcznie i prędej. Trach! Anielka wpadła do strumyka i piękna jej biała sukienka zamoczyła się zupełnie. Biedaczka poczęła gorzko płakać. Wszystkim żal się zrobiło, a poczciwy wieśniak dał jej zato najpiękniejsze wiśnie, nauczyciel zaś kazał zdjąć sukienkę i powiesił ją na wozie, aby wyschła. Niby biała chorągiew, powiewała sukienka Anielki, a gdy dojechano do stacji kolejowej sukienka była już zupełnie sucha. Anielce wrócił dobry humor.

Na stację podjechał pociąg. Uczniowie zajęli przygotowane dla nich przedziały.

— Ja siedzę przy oknie! — wołała Cesia. — Jak prędko ten pociąg jedzie, łąki i drzewa uciekają przed nim!

Anielka z radości nie mogła wymówić ani słowa, przecież po raz pierwszy jechała prawdziwą koleją.

— Zjedzcie śniadanie! — rozkazał nauczyciel. — Wkrótce będziemy musieli wysiadać.

Dzieci jadły z apetytem, potem śpiewały i cieszyły się.

Dojechano do stacji, na której pociąg

się zatrzymał. Uczniowie i uczennice poczęli wyskakiwać z przedziałów. Wszyscy pomaszerowali przez długą wieś, w której było mnóstwo pięknych białych domków. Ludzie tutejsi jakoś dziwnie śpiewająco mówili.

— Skąd jesteście? — zapytywali dzieci.

— Z Wielkiej Wsi, — brzmiała dumna odpowiedź.

Henio grał na swej ustnej harmonijce, reszta dzieci maszerowała ochoczo. Przed dużą gospodą rozstawione były stoły pod drzewami, nakryte do posiłku. Tutaj dzieci miały spożyć obiad.

— Ja idę na huśtawkę! — zawołała Anielka. — Pomóż mi, Cesi! Później ty się pohuśtasz.

— Teraz nasza kolej! — zawołały inne dzieci.

— Ach, nie możemy się wdrapać na deskę. Opuść ją trochę.

— Do stołu! — zawołał nauczyciel po dłuższej chwili.

Rozbawione towarzystwo uciszyło się. Dzieciaki jadły z apetytem smaczną zupę i gryzły ostremi zębami spore kawałki kiełbasy. Kartofle również smakowały im wyjątkowo. Potem wszyscy wstali i zaczęli śpiewać pod przewodnictwem nauczyciela.

Huśtano się jeszcze, zwiedzano okolicę,

lecz niestety przyszła pora powrotu. Nauczyciel ustawił dzieci w szeregu.

— Ruszamy! — zawołał. — Henio niech gra na swojej harmonijce.

Wkrótce wszyscy znaleźli się na stacji.

— Muszę jeszcze coś kupić za moje pieniądze! — rzekła Anielka, podbiegając do straganu ze słodyczami.

— Kupiłam cukierek i dużą czekoladę! — cieszyła się, siedząc już w przedziale. — Będę mogła teraz bardzo długo lizać.

Dzieciaki zgromadziły się przy oknach, spoglądając na zachodzące słońce.

— Proszę pana, jakie niebo jest teraz czerwone! — wołała Weronka, zmęczona całodziennem bieganiem i senna.

Na stacji czekały już umajone wozy, które miały dzieci odwieźć do rodzinnej wioski,

Usadowiono się pośpiesznie, śpiewano i śmiano się, aż wreszcie w oddali ukazały się tak dobrze znane dzieciom zagrody. Śpiewano tak głośno, że niemal wszyscy wieśniacy powychodzili z chat.

— Przyjemnie było? — zapytała matka Anielki, gdy dzieci wróciły do domu.

— Cudownie, precudownie! — zawołały chórem.

Zmęczone radością, szybko rozebrały się i poszły spać.

Śpiewaczek.

Niedaleko za obszernym szałasem, stała niziutka drewniana chatka, w której mieszkał maleńki człowieczek, zwany Śpiewaczkiem. Jego szczupła twarz była już bardzo pomarszczona, a na długich włosach pojawiły się gdzie niegdzie srebrne nitki. Śpiewaczek miał szpiczastą bródkę, i dwoje pocziwych szarych oczu. Dlaczego nazwano go Śpiewaczkiem, tylko dzieci wiedziały; tłumaczyły to sobie z łatwością, bo starszek każdemu potrafił na poczekaniu zaśpiewać jakąś bardzo zręczną i dopasowaną do niego piosenkę. Dlatego też Śpiewaczkiem zwano go już od bardzo, bardzo dawna. Śpiewaczek miał żonę, również taką maleńką, o rumianych policzkach, okrągłej twarzy i dwojgu roześmianych oczach.

Od wielu lat mieszkała ta parka w maleńkim drewnianym domku za szałasem i obydwójce byli szczęśliwi. Strugali z drzewa klamry do wieszania bielizny, łyżki drewniane, pletli nowe koszyki i łatali stare. A gdy już na ścianach wisiało dużo drewnianych klamer i dużo, dużo drewnianych

łyżek, a na ziemi stał stos nowych koszyków, wówczas przerywali robotę i szli w świat, aby towar sprzedać. Zawsze wtedy Śpiewaczek i jego żona ubierali się odświętnie. Wiązali sznurkiem drewniane łyżki, drugim sznurkiem wiązali klamry drewniane, stos koszyków zarzucali sobie na plecy i ruszali w drogę. Całymi godzinami wędrowali od wsi do wsi Śpiewaczek i jego żona. Ludzie chętnie kupowali ich towary i dawali im za to pieniądze, bo wszyscy lubili tę maleńką wesołą parę, wędrującą od domu do domu. Byli i tacy, którym niepotrzebne były towary Śpiewaczka, wówczas darowali Śpiewaczkowi i jego żonie bodaj jakąś drobnostkę.

Wielka zazwyczaj panowała radość, gdy maleńka parka wracała do wsi rodzinnej. Z wszystkich kątów wesoło witały ich dzieci, a gdy tylko ujrzały Śpiewaczka i jego żonę gdzieś w oddali, zaraz po całej wsi rozlegały się wesołe okrzyki:

— Śpiewaczek, Śpiewaczek wraca!

I z szczerą radością witano zawsze maleńką parę. Chłopcy w takich razach pomagali Śpiewaczkowi dźwigać napełnione darami dobrych ludzi woreczki, a dziewczynki odprowadzały Śpiewaczka i jego żonę aż

do samej chatki. Dopiero przed chatką dzieci żegnały swych przyjaciół uradowane, że znowu Śpiewaczek i jego żona są we wsi.

Od pewnego czasu Śpiewaczek nie mógł już wybierać się w dalszą drogę, bo nogi mu popuchły i z trudem się poruszał.

— Zostań w domu! — mówiła wesoło jego żona. — Ja sama wszystko sprzedam.

Więc Śpiewaczek zawsze już teraz zostawał w domu. Towarzystwa nigdy mu nie brakło, bowiem dzieci chętnie odwiedzały jego izdebkę, schodząc się do Śpiewaczka na przyjacielskie pogawędki.

W odwiedzinach u Śpiewaczka.

Był wieczór. Henio, Anielka, Cesia i Józek siedzieli na niziutkiej ławce naprzeciw pracującego pilnie Śpiewaczka. Przyglądali się jak Śpiewaczek zręcznymi swemi palcami wyplata koszyki i śmiały się, śmiały dzieci, aż łzy spływały im po policzkach. To nie robota Śpiewaczka tak ich rozśmieszyła, tylko miny, które Śpiewaczek wciąż do nich robił. Wyciągał usta, jak zajaczek, to znów wysuwał język, przewracał oczami, jakby były przymocowane na sprężynach.

— Opowiedzcie nam, Śpiewaczku, coś o swoich podróżach! — zawołał w pewnej

chwili najodważniejszy Henio, trącając Anielkę łokciem.

— Tak, tak, powiedzcie! — podchwyciły dzieci.

Pamiętały, że podczas każdych odwiedzin Śpiewaczek potrafił wynaleźć dla każdego z nich jakąś nową pocieszną historyjkę. Dziś jednak mały człowieczek nie miał ochoty opowiadać. Podniósł tylko w górę wskazujący palec i zaczął mówić wolno, robiąc jeszcze śmieszniejszą minę:

„Dobrze dostać się do nieba,

Lepsze to, niż piekło.

Gdy masz złota, ile trzeba,

Bacz, by nie uciekło.”

Ostatnie słowa wypowiedział już bardzo szybko. Później pociągnął zachwyconą Anielkę za wijące się loki i rozszerzonymi oczami spojrzał na nią, jak przerażony pościgiem zajączek.

— Jeszcze jeden wierszyk, jeszcze jeden! — prosiły dzieci. — I mnie coś powiedzcie, i mnie.

— Nie, najprzód mnie.

— Zaczniście od grubego Józka! — wołano.

Śpiewaczek zamyślił się. W izdebce zapanowała cisza. Nagle w oczach Śpie-

waczka zapłonął wesoly ognek i mały człowiczek zaczął mówić śpiewnym głosem:

„Niedaleko stoi wózek,

Przy nim stara ławka.

A nasz mały, gruby Józek

Myślał, że huśtawka”.

Przytem Śpiewaczek uczynił taki ruch, jakby się huśtał na ławce i z zabawną miną zsunął się na podłogę, ku ucieście swoich gości.

— Ślicznie, ślicznie! — wołały dzieci i poczęły naśladować Śpiewaczka, zsuwając się ze swych miejsc na podłogę. Śmiech przytem nie ustawał.

— Teraz dla mnie wierszyk, powiedzcie coś dla mnie! — poczęła wołać Cesia, ciągnąc Śpiewaczka za rękaw.

Śpiewaczek skinął głową na zgodę. Dzieci ciągle jeszcze nie przestawały się śmiać, co bardzo rozgniewało Cesię

— Bądźcie cicho! — zawołała, tupiąc nóżką w podłogę. — Przecież Śpiewaczek ma nam powiedzieć jakiś wierszyk.

Dzieciaki zamilkły, a Śpiewaczek spojrział z zadowoleniem na zagniewaną Cesię i począł mówić:

„Cesia nie może być wesola,

Któż ja do śmiechu zmusić zdoła?”

Niech jej cukierek ktoś przyniesie,
Śmiech Cesi słyhać będzie w lesie.“

— Racja, racja! — przyznali jednogłośnie chłopcy. Chcieli już nawet raz jeszcze powtórzyć wierszyk zadanej Cesi, lecz nagle drzwi izdebki otworzyły się i wszedł posłaniec. Dźwigał ciężki worek, który zaraz z ulgą postawił na stole.

— Dzięki Bogu! — westchnął Śpiewa-
i aż podskoczył z radości.

Dzieci wiedziały, że ten worek przysłała Śpiewaczkowi jego żona, ciekawe jednak były, co się w tym worku znajduje. Obstawiono stół dokoła. Śpiewaczek rozwiązał sznurek, opasujący worek u góry, podniósł go za dwa dolne rogi nad stołem i cała zawartość w postaci chleba, mięsa, kielbasy wypadła na stół.

— Och! — dobył się okrzyk z czworga dziecięcych piersi. Ślinka im poszła na widok tylu smakowitych rzeczy.

Na samym środku stołu leżała kupka zawiniętych w papier monet. Monety te Śpiewaczek szybko zebrał i schował do kieszeni.

— Tak, tak, — zawołał, klepiąc Henia po ramieniu.

„Ma pieniądze jaki siaki
Niech zażywa se tabaki“
dorzucił.

Dzieci wybuchnęły śmiechem, na twarzyczkach ich malowała się radość.

Nagle za oknem ukazały się dwie główki dziewczęce.

— Tak! — zawołały piskliwe głosiki. — Cesia i Anielka nie były jeszcze w oborze! Myśmy już dawno przyniosły mleko i idziemy na kolację.

Wiadomość ta spadła, jak piorun z jasnego nieba. O oborze dzieci zupełnie zapomniały. W powietrzu poczęły fruwać szkopki do mleka, chłopcy wybiegli za dziewczynkami i po chwili w izdebce Śpiewaczka było już pusto.

P o ż a r.

Prawie wszyscy mieszkańcy wsi pracowali w polu. Anielka również stała obok matki na kartoflisku, zbierając do kosza kartofle, które matka z zagonów wykopywała. Niektóre kartofle trzeba było jeszcze odrywać od krzaka, lecz te Anielka odrzucała nabok, zamierzając uporać się z nimi później. Cieszyła się na samą myśl, że wieczorem wraz z innymi dziećmi rozpali ogień na polu i kartofle sobie upiecze.

Ale co to? Anielka poczęła z niepokojem nasłuchiwać. Od strony wsi wyraźnie dochodził dźwięk alarmowego dzwonu.

— Na miłość boską, przecież to dzwon pożarny! — zawołała matka, wypuszczając z rąk motykę.

W tej samej chwili zaczęły bić dzwony kościelne, a ludzie w przerażeniu biegli do wsi, z której samego środka unosił się ku niebu gęsty, czarny dym.

— Gdzie się pali, gdzie się pali? — zapytawali jedni drugich.

— Zdaje się, że u Brzózków? — zawołał Stanisław Styk, — biegnijmy na pomoc!

Wszyscy ruszyli w stronę gospody „Pod Niedźwiedziem.”

I słusznie! Obszerna stodoła, wybudowana niedawno za domem, stała w płomieniach.

— Bydło, bydło! — wołali wieśniacy.

Ktoś wdarł się do obory i począł wyprowadzać ryczące krowy i cielęta. Konie rżały niespokojnie, kozy biegały tam i napowrót w popłochu. A pożar wzrastał, bo stodoła Brzózków napelniona była po brzegi sianem.

Przyjechała sikawka straży ochotniczej.

— Kiszkę do kanału!

— Pompować!

— Wody! — rozkazywał Styk.

— Drabiny!

— Ludzie, prędko po wiadra!

— Nosić wodę:

— Hej, chłopcy, do pomocy!

Wszyscy biegali w panicznym przestraszu. Anielka drżała.

— Wyrzucić wszystko z domu! — zawołał ojciec Jakóba Brzózki, — i tak już domu nie uratujemy!

Wówczas z okien oberży poczęły fruwać materace, sienniki, kołdry, ubranie, kosze, krzesła, skrzynki. Cięższe meble wyciągano z trudem otwartymi naościęz drzwiami, wszędzie słyhać było brzęk tłuczonych naczyń.

— Więcej wody, więcej wody! — wołał znowu rozkazującym tonem Styk. Stał teraz na najwyższym szczeblu drabiny, trzymając w ręku wentyl sikawki i puszczając strumień wody na płomień obejmujące dach domu. Wszystko jednak napróżno.

— Noście wodę! — wołał co chwilę, a wieśniacy biegali tam i napowrót, dźwigając wodę w dużych drewnianych wiadrach.

— Niechaj Bogu będą dzięki, druga sikawka jedzie z Wólki na pomoc! — obwieścił głośno powroźnik Hieronim.

Pot spływał kropliście po twarzach zadyszanych ludzi.

— Dobry wieczór.

— Bóg wam to wynagrodzi!

— Prędko, kiszkę do kanału!

— Dwóch ludzi musi pompować!

— Wody!

Drugi strumień wody przygasił nieco płomień, ale górna część oberży już płonąła.

— Co było powodem pożaru? — zapytał jeden z wieśniaków właściciela oberży.

— Widocznie siano samo się zapaliło, a ja zapóźno to zauważyłem, — odparł oberżysta, wbiegając do wnętrza płonącego domu.

— Trzeba jeszcze bufet wynieść! — wołał ktoś z tłumu.

— Więcej wody, więcej wody! — wołał ustawicznie Styk, stojący na drabinie.

— Uwaga, belka się odrywa!

Trach!

— Hieronimie, wyjdźcie stamtąd, przecież zadusicie się od tego dymu.

— Ach, jak gorąco!

— Wody!

— Wody!

Mężczyźni, kobiety i dzieci biegali z wiadrami do kanału, dostarczając wody tym, którzy dom ratowali. Anielka z drżeniem stała jeszcze ciągle na tem samym miejscu, wpatrzona w syczące płomień. Nagle usłyszała głośny płacz tuż obok.

— Moje dziecko, moje dziecko się spa-

li! — szlochała najstarsza córka właściciela oberży. — A razem z dzieckiem spali się ten piękny nowy wózeczek!

Anielce nagle zrobiło się tak dziwnie smutno, że mimowoli także zaczęła płakać. Ocknęła się dopiero, gdy przebiegający obok niej Stasiek, zawołał:

— Chodź prędko, Anielciu, pomożesz nam wodę nosić!

Anielka pobiegła za bratem.

Oberża „Pod Niedźwiedziem” do połowy już była spalona, a wieśniacy troszczyli się teraz tylko o to, aby pożar nie przeniósł się na sąsiednie zabudowania.

— Dzięki Bogu, że wiatru niema, — odezwał się stolarz Ulrich do powrznika Hieronima, — bo gdyby tak wiatr jeszcze, to cała wieś poszłaby z dymem. Aż się myśleć nie chce, co by to było.

Gdy nadeszła noc, ogień wreszcie został ugaszony. Z pięknego wysokiego budynku oberży „Pod Niedźwiedziem”, zostały tylko murowane ściany. Dym wciąż jeszcze wznosił się ku górze, przepelniając całą wieś nieprzyjemnym zapachem spalenizny.

Kilku gospodarzy zostało przy pogorzeliśku na całą noc, inni śmiertelnie zmęczeni, udali się do swych domów. Jakiś uprzej-

my sąsiad zabrał do siebie właściciela oberży z rodziną.

— Tak, straszny dzień mieliśmy dzisiaj! — wzdychała matka Anielki. — Bądźcie zadowolone, dzieci, że nasza zagroda uniknęła pożaru.

Dzieci były istotnie wdzięczne Bogu i tej nocy bardzo długo zasnąć nie mogły.

— Drogi Boże, daj najstarszej córce sąsiada Brzózki znowu takie małe dzieciątko! — modliła się cichutko Anielka, poczem przymknęła powieki i nie wiedząc kiedy, zasnęła.

Na pastwisku.

Za każdym razem, gdy Anielka miała paść krowy, ubierała się w stare spodnie Stefka i w jego za długą nieco i za szeroką bluzę. Rękawy bluzy też były trochę za długie, ale właśnie to najbardziej przypadało Anielce do gustu, bo można było chociaż w takich rękawach ogrzać zmarznięte ręce.

Nad górami zawisła wilgotna mgła, a nad polami zawodził kapryśnie jesienny wiatr. Przelatując nad sadem, obrywał ostatnie liście ze starych grusz i jabłoni, a przemęczone konary pochylał ku ziemi. Na takiej jednej rozłożystej jabłonce siedziała Anielka, strzelając od czasu do czasu z ba-

ta, trzymanego w ręku. Niedaleko pasły się krowy. Każda z nich miała na szyi dzwonek i wszystkie dzwonki dzwoniły. Dźwięk tych dzwonek był jakiś taki bliski i radosny, przypominający jakieś miłe kochane zdarzenia, które miały miejsce dawno, ale na wspomnienie których zawsze trzeba się wesoło uśmiechnąć.

Chłodno było.

Anielka zeskoczyła z gałęzi na ziemię właśnie w chwili, gdy Łaciata z Krasulą poczęły się bóść rogami.

— Hej tam, dajcie spokój! — zawołała Anielka, odganiając od siebie zacietrzewione krowy.

— Chodź, Bielasku, chodź, zwróciła się do śnieżnobiałego cielęcia, — chodź, dostaniesz smacznej kapustki.

Cielę podeszło i poczęło jeść z ręki Anielce.

— Tak, tak, grzeczny z ciebie Bielasek, — chwaliła Anielka, drapiąc zwierzątko pod szyją. — A teraz wracaj do swojej mamusi.

Cielątko uniosło w górę zadnie nogi, wyprężyło ogon i w wesołych podskokach pogalopowało przez pastwisko. Anielka usiadła znowu na opuszczonej przed chwilą grubej gałęzi jabłoni. Rzuciła swój bał na

ziemię i w zamyśleniu wsunęła ręce do kieszeni Stefkowych spodni.

Dookoła, wszędzie na polach pracowali pochyleni ludzie. Kopali kartofle i zbierali je do koszy albo do worków. Jakiś wieśniak stał wysoko na drabinie, obrywając jabłka z drzewa. Gromady ptaków przeciągały z głośnym świergotem nad głową Anielki.

— Odlatują znowu w ciepłe kraje. Bardzo bym chciała wiedzieć, jak w tych ciepłych krajach wygląda,—pomyślała Anielka.

Bim-bam-bim-bam-bim-bam!

Anielka podniosła głowę. O, przez pastwisko biegły dwie krowy sąsiada. Anielka strzeliła z bata. Za krowami szła Stefcia, wplatając sobie w warkocze piękne czerwone wstążki.

— Nie wpuszczaj tu krów! — zawołała Anielka. — Idą przecież prosto w kartofle.

— Zaraz je zagnamy! — odparła Stefcia i obydwie zagoniły krowy zpowrotem na pastwisko.

— Co masz w kieszeniach? — zapytała Anielka:

— Kartofle i jabłka.

— Rozpalimy ogień i upieczemy je w piele.

— O tak!

— Ale gdzie?

— Tam na początku łąki wykopiemy dołek. Potem ustawimy komin z ziemi, aby dym mógł się wydostawać nazewnątrz. W kieszeni mam papier i zapalki. Ja biorę się do kopania dołu, a ty Anielciu, zbierasz drzewa.

Anielka poczęła śpiesznie obrywać suche gałązki z okolicznych drzew i krzewów i znosić je siedzącej na ziemi Stefci. Kawalkiem patyka Stefcia wykopała dość duży dołek, poczem zwróciła się do nielki:

— Chodź, ty kop dalej, a ja ustawię komin.

Anielka przysiadła na ziemi, Stefcia zaś wzięła drugi patyk i zaczęła nim borować w ziemi dziurę. Policzki jej zarumieniły się od wysiłku.

— Patrz, Anielciu,—zawołała po chwili, — jestem już patykiem na dole.

I istotnie, w małym tunelu podziemnym pojawiła się drobna rączka Stefci, która dotknęła w pewnej chwili ręki Anielki.

— Jak się masz, dzień dobry! — śmiała się Anielka, podając Stefci umazaną w ziemi rękę. — No, teraz można zapalić!

Stefcia zebrała pośpiesznie suche gałązki i papier, włożyła to wszystko do dołka, potarła zapalkę i wesoły płomień strzelił ku górze.

— Dołóż jeszcze gałązek,

— Patrz, jak dym idzie z komina! —
wołała Anielka. — Ale się świetnie pali!

— Teraz połóż na popiół kartofle i jabłka!

— O, jak to ślicznie pachnie, strasznie się cieszę! — Anielka poczęła skakać radośnie dookoła ognia.

— Jabłka już zaraz będą gotowe. —
odezwała się Stefcia po upływie dziesięciu minut. — Wyjmij je kijkiem od swego bata!

Anielka usłuchała.

— Ach, ale gorące! — zawołała, śliniąc poparzone palce. — Ja tam zostawię moje żeby trochę ostygły.

— Ja także.

Obydwie dziewczynki poczęły niecierpliwie wyczekiwać.

— Spróbuję ugryźć. Ach, jakie to smaczne... — chwaliła po chwili Stefcia. — Trzeba tylko zobaczyć, czy kartofle już są miękkie. Dotknij patykiem, Anielciu! Przyniosłam nawet ze sobą trochę soli.

— Już zupełnie miękkie, można jeść!

— A jak pachną!

— Wyjmij je, każda z nas dostanie po trzy kartofle.

Trzymając wystygłe już trochę kartofle w rękach, usiadły obydwie na łące i wzięły się do jedzenia.

— Trzeba tylko skórkę zdjąć, to będą smaczniejsze, — zawołała wesoło Anielka

po dłuższej chwili milczenia. — Moje są do-
skonane, a twoje Stefciu?

Ogień powoli przygasał, a dziewczynki
z apetytem zajadły kartofle i jabłka.

— Bim, bam, bim, bam, — dźwięczały
dzwoneczki zawieszane na szyjach krów.

Zaczęło się ściemniać. Dziewczynki wca-
le tego nie zauważyły. Dopiero w pewnej
chwili ujrzały na łące parobka Styków, któ-
ry przyszedł, aby krowy zabrać do domu.
Anielka zerwała się przerażona i obydwie
ze Stefcią pognały bydło do domu.

Bim, bam, bim, bam, bim, bam, — dzwo-
niły dzwoneczki, zawieszane u szyi krów.

Babcia Anielki.

Babcia Anielki była całkiem niezwykłą
kobietą. Zawsze nosiła na głowie jedwabny
czepiec, a włosy miała białe, jak śnieg.
Rzadko kiedy schodziła babcia nadół do
kuchni, to też za każdym razem przyjmowa-
no ją radośnie, jak długo oczekiwanego gościa.

Babcia mieszkała na poddaszu drewnia-
nego domku Lipków. Miała tam jedną izdeb-
kę i kuchenkę przeznaczoną tylko dla sie-
bie. Całymi dniami siedziała na górze, go-
towała, sprzątała i cerowała. Latem zato
babcia większą część dnia przepędzała w le-
sie na poszukiwaniu jagód. Z jagód i pozio-

mek smażyla babcia konfitury, część sprzedawała, a część darowała matce Anielki. W swoim dużym kaflowym piecu suszyła babcia niezliczone ilości jablek, gruszek, wiśien i śliwek, a czasami nawet suszyła jagody jałowcu. Do największych skarbów babci należała staroświecka srebrna tabakierka.

Ilekróć babcia z kimś rozmawiała, wyjmowała zawsze tę tabakierkę, częstowała tabaką swego gościa i sama również zażywała. Potem oczywiście gość kichał i babcia kichała, ale tłumaczyła, że tabaka nikomu jeszcze nie zaszkodziła.

Często, a szczególnie w dni niedzielne, przychodziły do babci w odwiedzinach kobiety i dziewczęta. Wówczas babcia otwierała wielką dębową skrzynię, wyjmowała z niej piękne materjały na suknie i fartuchy, a goście oglądali i kupowali nieraz coś nie coś.

W dni powszednie, szczególnie wówczas, gdy babcia była raźniejsza, pakowała do dużego kosza wzorzyste wełniaki i płótna, poczem z koszem tym chodziła od domu do domu, sprzedając swe towary. Dlatego też pewnie wszyscy żartobliwie nazywali babcię Kupczychą, ale lubili ją, bo każdemu potrafiła doradzić, z każdym pogadać po przyjacielsku.

Dzieciaki bały się trochę babci, lecz nigdy nie okazywały jej nieposłuszeństwa, o tem Anielka wiedziała najlepiej. Nic więc dziwnego, że poza ojcem i matką nikogo Anielka tak nie kochała na świecie, jak swoją babcię o siwych włosach, w pięknym jedwabnym czepcu.

Imieniny babci.

— Dzieciaki, jutro są babci imieniny,— zawołał Romek z zadowoleniem, siedząc na ławce pod błękitnem kaflowym piecem. W pewnej chwili położył się na brzuchu, ucząc się na pamięć jakiejś zadanej pieśni ze szkolnego śpiewnika. — Będą śliwkowe strucle, — zawołał po chwili z lubością, głaszcząc się po brzuchu. — To dopiero frajda!

— Nie, będzie placek z jabłkami, — za-perzyła się Anielka. — Obydwie z Amelką widziałyśmy już u babci cały koszyk suszonych jabłek.

Romek nie chciał się sprzeczać z siostrą, więc skinął tylko głową potakująco, a Anielka zajęła się przyszywaniem guzików do sukienki, które punktualnie co tydzień przyszywała, bo urywały się nieznośnie. Wogóle Anielka strasznie szyć lubiła, i kiedyś nawet

powiedziała rodzeństwu, że chciałyby zostać krawcową.

— Macie rację, babcia zawsze piecze na imieniny struclę ze śliwkami i placek z jabłkami, — uspokoiła rodzeństwo najstarsza Amelka.

— Ach! Ach! Ach! — wołał Romek, klepiąc się po brzuchu z radości, a Stefek zaczął tańczyć po izbie, podnosząc wysoko w górę podręcznik do zadań arytmetycznych.

— Śpiewać! — zakomenderował Romek z pod pieca i po chwili zaintonował dzwicznym chłopięcym głosem:

„Złote słońce wieczorne, jakie piękne
Jesteś”.

Amelka podchwyciła zaraz drugim głosem, Stasiek trzecim, a nawet Anielka i mała Milusia przyłączyły się do śpiewu. Pięknie brzmiała pieśń w obszernej kuchni i dzieci z niej były bardzo dumne. W całej wsi wszyscy wiedzieli, że dzieciaki Lipków są najlepszymi śpiewakami w szkole.

— No, a teraz spać! — rozległ się pod koniec pieśni głos matki z sąsiedniej izby. — Zabierać manatki i spać!

Dzieci usłuchały.

Romek, jak błyskawica zerwał się z ławki pod piecem i poprowadził swe rodzeństwo na poddasze do izby, w której wszyscy spali.

Gdy się znaleźli na górze, przystanęli przed zamkniętymi drzwiami kuchni babci i zawołali chórem:

— Dobranoc, babciu!

— Dobranoc, dzieci! — odpowiedziała babcia z kuchni. — Zjecie jeszcze po kawałku piernika przed spaniem?

— Naturalnie, — zaśmieli się chłopcy i dziewczynki.

Babcia otworzyła drzwi, wysunęła rękę i podała Romkowi osiem niewielkich kawałków piernika.

— Przyjdźcie jutro!

— Tak, przyjdziemy! — zawołały dzieci.

Romek rozdał piernik rodzeństwu i dzieciaki z głośnym mlaskaniem poczęły wsuwać się do swoich łóżek.

Na drugi dzień w mieszkaniu babci pięknie wyglądało. W swoim piecu kaflowym upiekła babcia dwa duże, okrągłe, pachnące placki, struclę ze śliwkami i drugą z jabłkami. Ażeby ciasto prędzej ostygło, postawiła je babcia w blaszanych foremkach na wyszorowanej podłodze.

Firanki u okien były nakrochmalone i śnieżno-białe, a szyby w oknach połyskiwały czystością w porannem słońcu. Stół był nakryty pięknym wzorzystym obrusem,

zaś na obrusie stało osiem fajansowych kubeczków ze złotymi obwódkami.

Tak, u babci zawsze tak było uroczyście w dniu jej imienin. I dzisiaj było świętecznie, a wszystko zdawało się pachnieć świeżością i weselem. Cudowny zapach kawy czuło się aż na schodach, nic więc dziwnego, że dzieci niecierpliwie oczekiwały pory śniadania. Anielka nawet przejęta imieninami babci, włożyła pończochy i trzewiki, postanawiając tym swoim strojem uczcić tak ważny dzień, przypadający raz do roku. Dzień imienin babci był naprawdę najbardziej uroczystym świętem dla dzieciaków.

— Hop, hop! — rozbrzmiało wreszcie z górnego pięterka nadół.

A potem głośnie tupanie i chichoty na schodach! Na czele rodzeństwa biegła Anielka. Drzwi mieszkanka babci rozwarły się szeroko i Anielka, która biegła z szalonym pośpiechem, przez nieuwagę stąpnęła nagle noga w foremkę z świeżutkim placekiem.

— Życzymy zdrowia i błogosławieństwa bożego,—wyjąkała w szalonym przerażeniu.

— Ty roztrzepańcze! — zawołała babcia ze zgrozą, — nie możesz uważać, jak biegniesz? Dajno ten placek!

I podczas, gdy Anielka wycierała ście-

ką swój bucik umazany w śliwkowej marmeladzie, babcia gderała wciąż dalej:

— Teraz będziesz sama ten placek jadła, bo żadne grzeczne dziecko nie zachowuje się tak dziko. Na drugi raz będziesz uważniejsza!

Anielka nie wiedziała, czy ma płakać, czy śmiać się w tej chwili, ale gdy rodzeństwo zasiadło dokoła pięknie nakrytego stołu i poczęło z apetytem zajadać świeże ciasto, popijając je pachnącą kawą, Anielce nagle łzy nabiegły do oczu.

Siedziała biedaczka na niskim stołeczku pod piecem i jadła podeptany przez siebie placek z powidłami. Babcia ukradkiem się uśmiechała.

— Tak, nazawsze pozostanie tą samą Anielką,— rzekła i przeciągnęła pomarszczoną dłońią po ciemnych, wijących się włoskach dziewczynki. — pośpiesz się; jak to zjesz, dostaniesz lepszy kawałek.

Anielka bohatercko połknęła ostatni kęs. Serduszko pękało jej z bólu i pękłoby z pewnością, gdyby nie dostała ani kropelki pachnącej kawy i ani kawałeczka strucli z jabłkami. Przecież tak się cieszyła samą myślą o imieninach babci.

Po chwili uspokojona już, siedziała na przeznaczonem dla siebie miejscu przy sto-

le, jadła z apetytem i piła i była już zupełnie szczęśliwa.

Dzieciaki syte, z rozjaśnionemi twarzyczkami, poczęły pięknie dziękować babci za poczęstunek. Przynękały, że będą grzeczne i posłuszne, aby na przyszły rok znów zasłużyły na tak cudowne śniadanie. Anielka szczególnie uroczyście musiała złożyć swoje przyrzeczenie. Ale od tego dnia nigdy już Anielka, wchodząc do mieszkania babci, nie zapominała uprzednio do drzwi zapukać.

Na saneczkach.

— Nadół, nadół! — wołała Anielka, mknąc na swych dwuosobowych saneczkach po pochyłości ośnieżonego pagórka.

Mnóstwo dzieci dzisiaj tutaj się zebrało, a niektóre zagradzały jadącym drogę. Ci, którzy na saneczkach mknęli, wołali:

— Z drogi uciekajcie! — poczem mknęli dalej.

— Nadół! Nadół!

Często po drodze o kogoś się zawadzało, wówczas saneczki zjeżdżały nabok i omijały marudera. Dzieci tarzały się w śniegu, a później, gdy podnosiły się z ziemi, wyglądały jak bałwany z śniegu ulepione. Kilku chłopców również na saneczkach zjeżdżało zgóry nadół. Gdy natrafiali na kamień, w po-

wietrze ukazywała się jasna iskra. Większość dzieci przyglądało się tylko tej wesołej zabawie. Dzieci te nie miały saneczek, nie miały odpowiedniego obuwia. Noski im poczerwieniały, ręce pomarzęły, choć ukryte były pod fartuszkami, lub też w kieszeniach spodni.

— Chodź, będziesz mogła się ze mną przejechać! — Zapraszała Anielka Weronkę krawca, której jasny warkoczek sterczał z pod chusteczki.

— A umiesz dobrze kierować? — zapytała Weronka.

— Tak, tak, jeszcze nigdy z saneczkami wyleciałam, a przecież co zimę jeżdżę. Chodź do mnie!

Obydwie dziewczynki po kilku minutach zjeżdżały już z góry. Watowana szubka Anielki była zamarznęta na kość.

— Widzisz, że potrafię kierować! — chwaliła się Anielka, gdy saneczki ich znalazły się na dole. — Chodź napowrót wgórze!

Dzieci śmiały się i żartowały; te, które nie posiadały saneczek, machinalnie szły również pod górę, a potem piechotą schodzić nadół. Na szczycie pagórka był kompletny tłok. Każde z dzieci chciało pierwsze zjechać nadół.

— Ale nie jedźcie tak zaraz za mną! — wołała Anielka.

Saneczki zjechały nadół i zniknęły. Rozległy się głośnie okrzyki. Dzieci śpiesznie zbiegały po pochyłości.

— Anielka wjechała do strumyka! — rozległy się wołania ze wszystkich stron.

W strumyku.

Lód pod naciskiem saneczek załamał się. Weronka i Anielka wciąż jeszcze na saneczkach, siedziały w wodzie, która sięgała im do szyi. Na brzegu stały roześmiane dzieciaki. Dorośli biegli na pomoc.

— Co się tu stało? — wołał siwy Bartłomiej.

Na szczęście był w wysokich butach, więc bez wahania wskoczył do strumyka.

— Przestańcie płakać, — mówił, — przecież nic się wam nie stało!

Najprzód wyciągnął Weronkę, potem Anielkę i obydwie usadowił na brzegu. Weronka szlochała:

— Nigdy już nie pojedę z Anielką, nigdy więcej się na to nie zgodzę!

W towarzystwie innych dzieci Weronka wolnym krokiem poszła do domu. Anielka płakała jeszcze głośniej, bo podczas wypadku uszkodziły się jej saneczki.

— Co ci się stało? — zapytała matka gdy Anielka z płaczem weszła do izby.

— Wpadłam do strumyka, uuuu, uuuu!

Matka pokiwała w zamyśleniu głową. Zdjęła z Anielki przemoczone ubranie, poczem owinąwszy dziewczynkę kocem, usadowiła na ławce pod piecem i dała jej kubek gorącej herbaty.

— Mamo, — jęknęła po chwili Anielka, — czy mogę jutro zanieść saneczki do Wojtka, żeby mi je naprawił?

Matka milczała.

— Powiedz, mamo!

— Dlaczego? czy chcesz jeszcze raz wpaść do strumyka?

— Nie, będę teraz zjeżdżała z innej góry. Powiedz „tak”, mamo.

Anielka prosiła tak długo, że matka nie mogła tej prośby nie wysłuchać. I rozpogodziła się twarz Anielki, bo znowu radowała się myślą o tem, że za kilka dni będzie mogła z innej góry zjeżdżać na swych saneczkach.

Wojtek, parobek Styków.

Nazajutrz rano poszła Anielka ze swemi saneczkami do Wojtka. Wojtek potrafił przecież wszystko naprawić i wszystkiemu zaradzić. Jakiegokolwiek nieszczęście dzieciom

się przydarzyło, zawsze biegły po radę do Wojtka, jak również szły do niego wówczas, gdy coś nieznanego znajdowały na drodze. Wojtek wszystko przyjmował. Ze wszystkiego potrafił coś zrobić, nawet z kawałków papieru robił piękne latawce.

Już nie jednemu dziecku podarował Wojtek również małe drewniane pudełko, które nazewnątrż wylepione było błyszczącym kolorowym papierem. Tak, Wojtek był prawdziwym czarodziejem.

Gdy się zbliżały święta Bożego Narodzenia, Wojtek zawsze przez kilka dni pracował nad jakąś „sztuczką”. Nikt nie wiedział, co Wojtek robił, a dopiero wszyscy oglądali te cuda w wieczór wigilijny. Bo właśnie w ten wieczór Wojtek z „cudami swemi” chodził od domu do domu, pokazując je dzieciom i dorosłym.

— Co pięknego Wojtek w tym roku przygotowuje? — myślała Anielka, przyciskając klamkę stajni Styków, w której Wojtek mieszkał.

— Ostrożnie, ostrożnie! — zawołał głos z wnętrza, — nie pchać drzwi!

Gdy Anielka stanęła na progu, Wojtek pośpiesznie chował coś do skrzyni.

— Robiliście jakąś „sztuczkę”, Wojteczku? — zapytała Anielka, wchodząc do wnętrza.

Wojtek podrapał się w ucho i zaczął biegać po stajni wielkimi krokami tam i napowrót.

— Tak, tak, — mrucał, — marnie tym razem idzie, marnie! Ale muszę skończyć, bo nie byłbym Wojtkiem!

Zaśmiał się i zatarł z zadowoleniem ręce, potem zaś podszedł do saneczek Anielki i zaczął je oglądać.

— Coś z niemi robiła, że tak się zrujnowały?

— Wjechałam do strumyka, — odpowiedziała Anielka. — Ale czy nie moglibyście tych saneczek naprawić, Wojteczku?

W stajni zaległo milczenie, a Anielka ani na chwilę nie spuszczała wzroku pytającego z twarzy Wojtka.

Nagle drzwi się otworzyły i do stajni weszła Cesia, rozglądając się ciekawie dookoła. Na stole stało mnóstwo dużych i małych pudełek, leżały kółka od zegarków, skrawki papieru, ścinki materiału, wiórki drewniane, skorupki, nóż i świderek.

— To ci te saneczki naprawię, — zdecydował się Wojtek po namyśle. — A co ty przyniosła? — Zwrócił się do Cesi.

— Mama się pyta, czy nie moglibyście przykleić mojej lalce głowy, bo wczoraj jej odpadła?

To mówiąc, Cesia wyciągnęła z pod fartuszka nieszczęsny tułów lalki, a z chusteczki wyjęła ostrożnie woskową główkę bez nosa i wszystko to razem podała Wojtkowi.

— Postaram się i to doprowadzić do porządku, — zaśmiał się Wojtek dobrotliwie — ale teraz już sobie idźcie — dorzucił, popychając dziewczynki ku drzwiom.

— Kiedy będę mogła odebrać saneczki? — zapytała Anielka od progu.

— Dzisiaj wieczorem.

„Sztuczki” Wojtkowe.

Boże Narodzenie!

— Idzie, już idzie! — wołała Anielka, skacząc z radości w obszernej kuchni Lipków.

Wszystkie dzieci poskoczyły ku drzwiom i po chwili wciągnęły Wojtka do kuchni. Wojtek pozdrowił wszystkich, poczem postawił na stole sporą skrzynkę, w której widocznie znajdowała się jego nowa „sztuczka”. Matka także zbliżyła się do stołu, dzieci zaczęły trącać się łokciami i popychać wzajemnie.

— Ja nic nie widzę, — jęczała mała Milusia.

Matka wzięła ją na ręce.

— Zamknąć oczy! — rozkazał Wojtek

Na rozkaz ten oczy wszystkich się zamknęły, zapanowała cisza.

— Teraz już można otworzyć! — zezwolił Wojtek po chwili.

Dzieci spojrzały na stół i oniemiały z podziwu.

— Oh, ach, jakie to piękne! — zawołały wszystkie jednocześnie.

Wojtek tym razem zrobił dzieciom prawdziwą niespodziankę, bo przygotował na Boże Narodzenie śliczną maleńką karuzelę.

— Ach, jakie piękne koniki!

— I kolorowe laleczki na nich siedzą, czerwone, zielone i niebieskie!

— A jak dach cudownie wygląda!

— Cały jest pomalowany złotem na brzegu, a na samym środku tkwią trzy maleńkie chorągiewki.

— Ach!

— A czy ta karuzela się kręci? — zapytały dzieci nieśmiało.

— Naturalnie! — odparł z dumą Wojtek, poczem wyjął z kieszeni kamizelki maleńki kluczyk. Zupełnie obojętnie wetknął kluczyk do maleńkiej dziurki w karuzeli i o dziwo! Rozbrzmiała nagle cudowna muzyka, a karuzela poczęła się kręcić.

Laleczki obracały się dokoła, chorągiew-

ki trzepotały wesoło, a dzieciaki nie posiadały się z radości.

— Jeszcze raz, Wojteczku, jeszcze raz! — prosiły, gdy karuzela zatrzymała się po chwili.

Uśmiechnięty Wojtek schował jednak pośpiesznie kluczyk do kieszeni kamizelki i odwrócił się na pięcie. Chłopcy i dziewczęta poczęli go ścisnąć i całować. Wojtek jaśniał radością.

— Z was, to naprawdę artysta, — pochwaliła matka. — Jakżeście to zrobili?

— Długo myślałem, — zaśmiał się Wojtek i z dumą schował swe arcydzieło z powrotem do skrzynki.

Matka dała mu jakąś monetkę, za którą Wojtek podziękował i ruszył do następnej chaty w towarzystwie rozradowanych dzieci.

— Wojtek jest największym czarodziejem w całej wsi, — orzekł Stefek, gdy wszyscy wracali już do domu.

Nikt temu nie zaprzeczył, bo wszyscy wiedzieli, że Stefek ma słusność.

Anielka omal nie zmarła.

Była pora obiadowa. Słońce świeciło jasno, spoglądając jakby z uśmiechem z błękitnego, pogodnego nieba. Miękki śnieg le-

żał na łąkach, polach i lasach, połyskując jak kryształ.

Anielka przymrużyła oczy, bo biel śniegu poprostu ją oślepiła.

— Przejedziesz się ze mną na saneczkach? — zawołała ku niej Cesia.

— Nie, muszę len zanieść do przędzalni.

— Jaka szkoda!

Anielka pokiwała główką i małe saneczki, na których stał koszyk z lnem, poczęła ciągnąć za sobą. Ciągnęła chwilami prawą ręką, chwilami znów lewą, bo saneczki były dosyć ciężkie, a droga daleka. Od czasu do czasu przystawała, aby odpocząć.

Niby ciepła miękka kołderka, leżał śnieg na zamarznętej ziemi. Uginające się pod nim drzewa jęczały od czasu do czasu i drżąc chwilami, zsypywały z siebie płateczki śniegu, które fruwały w powietrzu, niby maleńkie piórka. A potem zalegała znowu martwa cisza.

— Drzewa śpią, — myślała Anielka, — a strumyk też śpi pod lodem, w strumyku zaś posnęły nawet żabki.

Droga prowadziła przez las.

— Ach! — westchnęła nagle Anielka i zatrzymała się.

Trzy przecudowne sarenki wynurzyły się z poza drzew i poczęły biec w jej stronę. W pewnej chwili stanęły, spoglądając na Anielkę z przerażeniem. Ona również nieśmiała ruszyć się z miejsca, była tak zdziwiona, że sznurek od saneczek upadł jej na ziemię. Sarenki potrząsnęły łebkami i zniknęły w głębi lasu.

Anielka poczęła iść dalej. Przypomniała jej się nagle bajeczka o trzech braciszkach zamienionych w sarny i bajeczkę tę zaczęła sobie na głos opowiadać. Potem zadeklamowała jeszcze kilka małych wierszyków, których się nauczyła od rodzeństwa. W ten sposób czas prędej mijał,

Anielka bardzo rzadko spotykała kogoś na drodze, a przecież już od dwóch godzin wędrowała. Wreszcie zbliżyła się do budynku fabrycznego, gdzie miała len oddać.

Weszła do obszernej niskiej izby, w której zastała dużo kobiet i dzieci. Wszyscy oddawali len i otrzymywali zato pieniądze. Z kilku brzęczącymi monetami w kieszeni wyszła z fabrycznego budynku.

Na dworze zaczęło się zmierzchać, zimno było coraz bardziej. Anielka przyśpieszyła kroku. Mocniej owinęła szalik dokoła szyj i poczęła ciągnąć za sobą saneczki. Śnieg trzeszczał jej pod nogami. W miejscu,

gdzie droga biegła nieco zgóry, siadała na saneczkach i zjeżdżała. Ale mróz był coraz większy i przenikał aż do kości poprzez niezbyt ciepłą sukienkę i szubkę. Anielka poczęła drżeć. Ręce jej posiniały i stały się zupełnie sztywne. Prosto nie mogła teraz ciągnąć za sobą saneczek, mimo to jednak trzymała sznurek mocno i kroczyła wciąż naprzód, przed siebie.

Stawało się coraz ciemniej. Anielkę bolały już ręce i nagle poczęła cichutko płakać. Wreszcie usiadła na saneczkach i postanowiła rozgrzać posiniałe ręce pod fartuszkim. Po chwili podniosła się, idąc dalej, a ręce coraz bardziej ją bolały.

Wreszcie Anielka zaczęła płakać głośno i przyzywać matkę na pomoc. Była bardzo zmęczona, mimo to jednak szła wciąż dalej i dalej, jak we śnie.

— Uhu, uhu! — krzyczał w lesie jakiś ptak.

Anielka słyszała ten wrzask, jakby gdzieś bardzo daleka. Przysiadła znowu na sankach. Oczy jej same się zamykały, ręce sztywno spoczywały pod fartuszkim i Anielka nagle zasnęła...

Matka czekała i czekała w domu, ale Anielki nie było, zaczęła się więc niepokoić.

— Romek i Amelka, — zwróciła się do najstarszych dzieci, — niech prędko idą na spotkanie Anielki! Jestem bardzo niespokojna, że dziecka jeszcze do tej pory nie widać!

Rodzeństwo poszło.

— Anielciu! Anielciu! — rozbrzmiewało wśród śnieżnej ciszy.

Nie było odpowiedzi i dzieci poczęły się również niepokoić. Ile sił w nogach, biegły coraz dalej i dalej. Aż wreszcie na zakręcie leśnej ścieżki natknęły się na małe saneczki, na których siedziała śpiąca Anielka.

— Anielciu! Anielciu! — zawołali obydwójce, potrząsając dziewczynką ze strachem. — Chodź, wstań, chodź do domu!

— Tak... tak... do domu, — wyszeptwała Anielka.

Ręce i nogi jednak miała tak zeszywniałe, że w żaden sposób nie mogła się podnieść z sanek. Wówczas Amelka zdjęła z siebie gruby wełniany szal, okryła nim Anielkę, położyła ją na sankach i obydwójce z Romkiem poczęli biec szybko, ciągnąc saneczki ze śpiącą siostrzyczką do domu.

— Całe szczęście, że was posłałam! — rzekła matka, a kolana ugięły się pod nią z przerażenia.

Jak najspieszniej przeniosła Anielkę do chłodnej izby i poczęła rozcierać jej śniegiem ręce, twarz i nogi. Potem położyła ją do łóżka i kazała się napić gorącej herbaty.

Dużo jeszcze cierpień przeniosła wówczas Anielka, ale była szczęśliwa, że znowu znajduje się w domu i leży w swoim wygodnem łóżeczku.

Wiosenne pranie.

Nareszcie, nareszcie zbudziła się ziemia ze swego zimowego snu! Przeciągnęła się i wyprężyła tak mocno, że wszystkie lody popękały. Odetchnęła tak głęboko, że matka Anielki zawołała radośnie.

— Dzieci, zaczyna pachnieć wiosną.

Nareszcie otworzyła ziemia swe oczęta, i tak serdecznie popatrzyła w górę ku niebu, że niebo z radości stało się nagle błękitne. Ptaki poczęły śpiewać znowu, zwierzątka wypęzły ze swych legowisk i usiadłszy w blasku słonecznym, poczęły czyścić swoje zabrudzone podczas zimy szatki. Dopiero teraz w złocistych promieniach słońca przekonały się zwierzęta, że należałoby po długotrwałej zimie zrobić koło siebie trochę porządku.

I ludziom nic innego nie pozostało. Zdjęli ludziska ciepłe zimowe ubrania, uprzątnęli

swe domostwa, pootwierali okna i z radością przyglądali się wiosennemu słońcu.

Matka Anielki zdjęła ze wszystkich okien firanki, wytrząsnęła je porządnie i podała Anielce.

— Zanieś firanki na strych,— rzekła,— a potem idź nad rzekę i zobacz, czy kijanki są wolne.

Anielka poszła. Poskoczyła do drzwi od podwórza, okrążyła starą, pochyloną szopę i znalazła się nad rzeką. Na samym brzegu, tuż nad spokojną płynącą wodą, leżały mniejsze i większe kijanki, związane słomą po kilka sztuk, a potem wszystkie razem przywiązane sznurkiem do pala. Anielka policzyła, ani jednej nie brakowało.

— Ty, dlaczego położyliście wasze kijanki do wody? — zawołał Zyzio Brzózka z przeciwnego brzegu.

— Muszą przecież odetchnąć świeżem powietrzem, bo przez całą zimę leżały w piwnicy, — odpowiedziała Anielka.

— A dlaczego je teraz liczysz? — dowiadywał się Zyzio.

— Głupi jesteś, — mruknęła Anielka,— przecież jutro będzie u nas wielkie pranie.

— Acha! — zorientował się chłopak,— ale tyle kijanek wam będzie potrzeba?

— Co myślisz, z całej zimy zebrało się

dużo bielizny, a teraz mama jeszcze zdjęła wszystkie firanki i zdejmie powleczenie z wszystkich łóżek. Ja się strasznie cieszę, bo dzisiaj będę spała na świeżej pościeli.

Anielka uderzyła się z dumą w piersi i pobiegła do domu, a Zyzio począł za nią spoglądać z zazdrością.

— Pójdę też do domu i powiem mamie, żeby i u nas urządziła wielkie pranie—pomyślał.

Tego wieczoru matka Anielki zniosła całą brudną bieliznę ze strychu do małej komóreczki za kuchnią. Nazajutrz rano wstała o świcie i stanęła przed domem nad balją, mydliła bieliznę, tarła, wyżymała z wody, zanurzała ją w wodzie napowrót, znowu tarła i sięgała po następną sztukę.

Stara Agata, która przyszła matce pomóc, biegała śpiesznie tam i napowrót. W pewnej chwili wbiegła do kuchni, chwyciła kocioł stojący na kominie i zniosła go przed dom do balji. Balja stała na wysokim drewnianym stolku, dwie mniejsze balje znajdowały się obok na ziemi.

— Ale wody mamy mało, — jęknęła Agata.

Wówczas matka zawołała:

— Stasiu, Amelko, Anielciu, przynieście wody, tylko prędko!

Stasiek założył stągwie na plecy, a dziewczynki chwyciły wiadra i wszyscy razem pobiegli do rzeki. Tam uklękli, zaczerpnęli w naczynia wody i wolniej już przydzwigali ją do domu.

— Będziecie mogli pójść jeszcze raz! — zawołała matka, gdy wrócili. — Wylejcie wodę do tej dużej balji!

Dzieci poszły i po chwili wróciły znowu.

— A teraz sprzątnijcie izbę i pościelcie swoje łóżka, — rozkazała matka. — Tylko żeby było cicho i bez awantur!

Podczas, gdy matka i stara Agata tarły bieliznę, wyżymały ją, mydliły i całą balję wypranej bielizny przyniosły do kuchni, aby ją wygotować, dzieci ochoczo zabrały się do roboty.

Anielka w sukience wsunęła się pod kołdrę, przykryła na głowę i zawołała:

— Widzicie, jak się schowałam, a łóżko jest przecież porządnie posłane.

Po chwili wyskoczyła jednak, poklepała poduszki i stanąwszy na małym stołeczku przykryła łóżko biało-czerwoną kapką, którą wygładziła porządnie, aby nie było ani jednej fałdki.

— Ślicznie to robisz, — pochwalił Stasiek, — dobra będzie z ciebie gospodyni.

Anielka z dumą popatrzyła na brata

i zeszła nadół do kuchni. Teraz zdjęła sukienkę z lalki i koszulkę, wyszła przed dom do matki i zaczęła prać lalczyną bieliznę.

— Niech mi mama da jeszcze trochę mydlin! — prosiła, pochylona nad balją.

Tak minął ranek. Po obiedzie matka wraz ze starą Agatą zanosły wypraną bieliznę do rzeki. Obydwie uklęły na brzegu i wyjmując jedną sztukę bielizny po drugiej, poczęły je zanurzać w zimnej wodzie, wyzymać i z powrotem kłaść do balji. Anielka również była nad rzeką, bo musiała przecież wypłukać lalczyną bieliznę i kilka małych chusteczek do nosa.

Ach, jak woda wesoło pluskała i spływała z zaczerwienionych palców! Anielka była uradowana, nawet policzki zaróżowiły jej się jeszcze bardziej.

Później bieliznę zaniesiono z powrotem do domu. Matka przeciągnęła w ogrodzie sznury od drzewa do drzewa i zawiesiła bieliznę na nich. Jak wesoło trzepotała bielizna na sznurze i jak cudnie połyskiwała w słońcu!

— Patrz, to nasza bielizna! — chwaliła się z dumą Anielka małej Aneczce Styków.— Teraz ja powieszę bieliznę lalki. Zaczekaj, będziesz mogła zobaczyć.

Matka Anielki prała jeszcze do późnego wieczora, a następnego dnia już o czwartej

nad ranem była znów na nogach. Ciepłe słońce wiosenne i leciutki wietrzyk dopomogły, aby bielizna do wieczora wyschła i aby ją można było złożyć do ogromnego kosza. To, co jeszcze było mokre, dosychało na słońcu następnego dnia. Teraz rozpoczęło się prasowanie i matka Anielki stała pochylona nad żelazkiem od rana do wieczora.

Wreszcie w wymytych oknach ukazały się znowu śnieżnobiałe, nakrochmalone firanki, stary piec kaflowy wymyto i przystrojono go również czystą firaneczką.

— Teraz spojrzij na nas, słońeczko wiosenne! — myślała Anielka, — bo u nas znowu czysto i pięknie.

Anielka zmęczona była wielkim wiosennem praniem, mimo to jednak była wesoła i zadowolona.

Na Jarmarku

Nadszedł drugi poniedziałek Marca, wielki dzień świąteczny, w którym odbywał się jarmark. We wsi zapanowała ogólna radość, i nawet ptaki rozświergotały się już w gałęziach zieleniejących drzew. Strumyk skakał wesoło z kamienia na kamień, a nad doliną zawisł tak przecudny blask słońecz-

ny, że każdy musiał się domyśleć, iż święto nadchodzi.

Anielka wyszła przed dom, rozejrzała się dokoła i wygładziła z dumą swój śnieżnobiały fartuszek.

— Czekał, ja też idę! — zawołała Cesia z sąsiedniej chaty, powiewając swym jasnym warkoczykiem na wietrze. — Ile masz pieniędzy? — zapytała, podbiegając do przyjaciółki.

— Piętnaście groszy.

— Ja tak samo!

— Pokaż!

Cesia wyciągnęła z kieszeni dużą czerwoną chustkę do nosa i rozwiązała węzełek. Trzy monетки pięciogroszowe ukazały się roziskrzonym oczom Anielki.

Zdaleka dochodziły dźwięki orkiestry, w takt której kręciła się karuzela, um, ta, ta — um, ta, ta!

— Chodźmy! — zawołała Anielka i ująwszy się za ręce, obydwie dziewczynki pobiegły.

Karuzela polyskiwała w słońcu i kręciła się jak oszałała! Wszystkie koniki były zajęte. Z maleńkich bryczuszek śmiały się uszcześliwione dziecięce oczy.

Muzyka zamilkła i karuzela zatrzymała się. Poczęto się tłoczyć. Anielka wsiadła na

gniadego konika. Hops, siedziała już na grzbiecie i niby królowa poczęła rozglądać się dokoła. Ukradkiem zerknęła na swe wy-czyszczone buciki i nowe pończoszki w bia-e i niebieskie paski.

— Wszyscy będą je oglądać, — pomy-ślała, czerwieniąc się z radości.

Karuzela poczęła się kręcić, muzyka za-grała, a Anielka pochyliła się nad łbem swe-go konika, trzymając go kurczowo za uzdę. Cesia powiała ku niej chusteczką, została biedaczka na dole, nie mogąc zdobyć żadne-go miejsca. Serce Anielki omal nie wysko-czyło z piersi.

— Płacić! — zawołał jakiś głos zdołu. Anielka podała pięciogroszówkę.

— Ach, to Anielka tutejszego malarza— rzekła właścicielka karuzeli, — zatrzymaj swoje pięć groszy, będziesz mogła jeszcze raz zadarmo się przejechać, tylko pozdrów mamusię!

Anielka uśmiechnęła się. Jak to dobrze, że ojciec przed dwoma laty odmalował te koniki i bryczuszki, bo ona przecież może teraz całkiem zadarmo przejechać się na karuzeli.

Karuzela zatrzymała się znowu, lecz Anielka ze swego konika nie zsiadała. Tuż

obok niej zwolnił się drogi konik. Anielka położyła rękę na jego grzbiecie.

— Cesi, Cesi! — zawołała na całe gardło.

Cesia podbiegła. Dzieci na konikach były zadyszane z radości, a karuzela poczęła się znowu kręcić. Um, ta, ta, um, ta, ta!

Anielka spięła swego konika ostrogami. Pragnęła galopować za góry, za lasy, aby przekonać się, co tam się znajduje.

— Hej, koniku, hej! — wołała, a oczy jej błyszczwały radością.

Karuzela znowu zatrzymała się. Dzieci wysiadły. Z zarumienionemi policzkami Anielka stała na placu. Ludzie biegali tam i napowrót. Z lewej i z prawej strony ciągnęły się długie szeregi straganów. Ku niebu wzbijały się głośne okrzyki.

— Piękne towary! Broszki, kolczyki, naszyjniki, piękne towary prawie darmo!

Anielka i Cesia przystanęły. Jeden ze straganów poprostu obłożony był przez dzieci. I one do tego straganu podeszły. Ołówki, farby, śliczne gąbki, piórniki, tabliczki i szyferki, wszystko rozłożone było na straganie. Szyferki owinięte były zielonym, czerwonym, błękitnym i żółtym glansowanym papierem. Anielka sięgnęła do kieszeni.

— Kup sobie! — szepnęła do jej ucha Cesia.

Za pięć groszy Anielka dostała pięć przedudownych szyferków.

— Spójrz! — pokazała je z dumą Gieńce powróznika Hieromina. Gieńka potrząsnęła kędzierzawą główką, aż zadzwoniły połyskujące szklane kolczyki w uszach.

— Ach, jakie śliczne!

— Gdzie je kupiłaś?

— Tam, dalej koło strumyka, gdzie się zaczynają stragany. Musicie tam pójść, to zobaczycie najpiękniejsze rzeczy!

Cesia z Anielką pobięły w tę stronę.

Nie odeszły daleko, bo co chwilę przystawały, rozglądając się z ciekawością.

— Wystawa, piękna wystawa! — wołał jakiś człowiek, podrzucając ku górze czerwoną maleńką czapeczkę. — Najpiękniejsze widoki świata tylko za dwadzieścia groszy, za dwadzieścia groszy!

Dziewczynki przystanęły z otwartymi ustami, przyglądając się tajemniczej budzie sprzedawcy.

Aneczka Stykówna zbliżyła się do nich, liżąc zawzięcie ogromny cukierek na patyku. Anielce ślinka napłynęła do ust. Dłużej nie mogła wytrzymać i pociągnęła za sobą Cesię.

— Fiu, fiu, fiu! — rozbrzmiewało ze

wszystkich stron. Gromada dzieciaków z gwizdzącymi kogucikami, natarła na Cesię i Anielkę.

Weronka sołtysa promieniała radością. Trzymała w ręku kolorowy wiatraczek z papieru, który wesoło obracał się na wietrze.

— Teraz i ja chcę coś kupić — postanowiła Cesia, przyspieszając kroku. Dwie monетки pięciogroszowe poprostu wypalały jej dziurę w kieszeni. Znalazły się tuż przy kładce, przerzuconej przez strumyk.

— Patrz, to tutaj Gieńka kupiła swoje kolczyki — zawołała nagle Anielka. Istotnie takie same kolczyki leżały na straganie, a tuż przy nich piękne czerwone korale, zielone bransoletki, pierścionki i broszki.

— Dwadzieścia groszy za sztukę, tylko dwadzieścia groszy! — wołała handlarka z zapalem.

Dziewczynki spojrzały na siebie w przerażeniu, lecz już po chwili Anielka szepnęła Cesi do ucha:

— Chodź, tam dalej jest o wiele ładniejszy stragan z tańszymi rzeczami!

I słusznie. Na następnym straganie uśmiechały się do dzieci pokryte lukrem serduszka z pierników, maleńkie trąbki z ciasta, cudowne ptaszki z różowymi oczkami z cukru. W głębi wznosił się stos różnoko-

lorowych cukierków na patyku, orzechów i innych cudowości.

— Muszę coś kupić, — buntowała się Cesia, podskakując na jednej nodze.

— Ja także!

— Co kupimy?

Dziewczynki poczęły się naradzać, i wreszcie po długim namyśle, każda z nich wzięła czerwony duży cukierek na patyku, a do tego piernikowego ptaszka. Uszczęśliwione odeszły od straganu.

— Chodź, pójdziemy nad strumyk, — namawiała Cesia, — tam będziemy mogły spokojnie nasze zakupy obejrzeć.

Słońce śmiało się do dzieci. Cesia i Anielka usiadły tuż przy sobie nad brzegiem strumyka. Lizały zawzięcie swe cukierki na patykach, zanurzając je od czasu do czasu w wodzie.

— Na całym świecie chyba niema nic lepszego od cukierków na patyku, — orzekła uradowana Anielka. — Jak będę dorosła, całe pieniądze wydam na cukierki.

— Ja także, — skinęła główką Cesia, czyniąc to postanowienie całkiem poważnie.

Szczęśliwy dzień.

Była niedziela. Wesoła struga słonecznych promieni wlewała się przez otwarte,

przystrojone kwiatkami okna do czystej izby. W izbie siedziała przy stole matka Anielki wraz z dziećmi, z których każde sięgało swą łyżką do dużej czerwonej miski. W misce było surowe mleko z kaszą owsianą i poziomkami. Na samą myśl o tej smakowitej niedzielnej potrawie cieszyły się dzieci już przez cały ubiegły tydzień, nic więc dziwnego, że zupełne milczenie panowało, dopóki miska nie opróżniła się zupełnie. Później dopiero jedni poczęli szeptać do drugich:

— Dobrze było!

Anielka zsunęła się z ławki stojącej pod piecem, chciała pójść do kuchni po swe trzewiki.

— Czekaj! — zawołała jednak matka i po chwili przyniosła do izby buty Amelki, zapinane na guziczki.

— Przymierz te buty, bo dla Amelki są już za małe, — zwróciła się do Anielki.

Anielka poczerwieniała z radości. Takie buty z guziczkami w całej wsi miały tylko Amelka i Basia doktora. Amelka dostała te trzewiki od swojej chrzestnej, gdy raz była u niej w mieście. Więc te buciki miały być teraz własnością Anielki!

— Dobrze są na ciebie, — rzekła matka, — więc noś je zdrowo!

Anielka uszczęśliwiona podniosła głowę.

— Ach, jak Amelce musi być żal tych butów, — pomyślała, — jabym ich tam nikomu nie oddała.

Z niezwykłym pośpiechem włożyła Anielka swoją świąteczną sukienkę i wybiegła na dwór. Lęk ją przejmował, że matka może się rozmyśleć i odebrać jej buciki z guzikami, nikt jednak do niej się nie zbliżył, oprócz przyjaciółki Cesi.

— Masz nowe buciki? — zapytała zdziwiona.

— To były buciki Amelki, ale teraz ja je będę nosić. Podobają ci się?

Cesia skinęła główką i rzekła:

— Chciałabym też mieć buciki z guzikami. Jak będę duża, to sobie takie kupię.

Ramię przy ramieniu spacerowały przyjaciółki tam i napowrót po szerokiej wiejskiej drodze. Od czasu do czasu przystawały, spoglądając z zadowoleniem na piękne wyczyszczone buciki Anielki.

— Zdaje się, że się trochę zakurzyły, — zauważyła w pewnej chwili Cesia.

Anielka szybko wyciągnęła chusteczkę i wyczyściła buciki ponownie. Nadbiegły i inne dzieci.

— O, Anielka ma buciki z guzikami! — zawołały, — chodźcie zobaczyć!

Anielka stała w samym środku gromad-

ki i obracała się dumnie na wszystkie strony. Każda dziewczynka zapragnęła teraz być jej najbliższą przyjaciółką. Długim szeregiem zaczęły kroczyć dzieci z powrotem do wsi.

Na łąkach pod wpływem lekkiego wietrzyka kołysała się wysoka trawa, tysiące różnobarwnych kwiatów podnosiły główki ku błękitowi nieba. Rozchylały kielichy, przyjmując gościnnie brzęczące pszczołki, które odlatywały, aby po chwili wrócić znowu. Nietylko pszczołki zachwyciły się kwiatkami. Drobne rączki dziewczynek poczęły je delikatnie zrywać, aż wreszcie nie mogły już podźwignąć większej ilości kwiecica.

Wówczas przysiadły dzieci na skraju łąki, poczęły śpiewać i wic wianuszki z kwiatów. Wianuszkami temi dziewczynki przystroily sobie główki, podziwiając się w tym stroju wzajemnie.

— O, kto tam idzie? — zawołała nagle Cesia, wskazując szeroką wiejską drogę.

Oczy wszystkich dzieci poszybowały w tę stronę.

— Wielbłąd — człowiek — jeszcze jakieś zwierzę!

Z okrzykiem radości zerwały się dzieci z trawy i poczęły biec na spotkanie przyszom.

Niespodzianka.

— Ach, niedźwiedź! — pisnęła Anielka, — i małpka siedzi na wielbłądzie.

— Jaki śmieszny chłopiec! — dorzuciła Aneczka Stykówna.

Obydwie miały słuszność. Szeroką wiejską drogą ciągnęło dziwne towarzystwo w stronę wsi. Stary jegomość z brodą prowadził na żelaznym łańcuchu ogromnego, brunatnego niedźwiedzia, wlokącego się ociężałym krokiem. Tuż obok kroczył dumnie wielbłąd, przechylając się z boku na bok, a na jednym z jego garbów siedziała wesoła małpka, rozglądając się ciekawie dokoła. Czarnowłosey ogorzały chłopiec, o białych zębach szedł obok wielbłąda. Miał na sobie cudowne brązowe aksamitne ubranko. Dzieci zbliżyły się do tej dziwnej gromadki.

— Dzień dobry, — zawołały nieśmiało.

Anielka z otwartymi ustami spoglądała na wysokiego wielbłąda, Cesia odczuwała lęk przed wielkim niedźwiedziem, wszyscy jednak śmieli się z milutkiej małpki i przyglądali się z zaciekawieniem czarnowłosemu chłopczykowi. Po chwili od strony wsi nadbiegło więcej jeszcze chłopców i dziewcząt. Jedni poczęli biec do wsi spowrotem, aby

nowinę starszym opowiedzieć. Dookoła rozbrzmiewało wołanie:

— Niedźwiedź, wielbłąd, małpka, chodźcie zobaczyć!

Wieśniaczki odświętnie ubrane wyległy na szeroką wiejską drogę, za nimi postępowali wieśniacy z długimi fajkami w zębach.

Przybysze przeciągnęli przez wieś i zatrzymali się na placu targowym, oczekując aż zbierze się jaknajwięcej ludzi. Wówczas jegomość z brodą rozkazał niedźwiedziowi położyć się na ziemi. Małpka stanęła na garbie wielbłąda i grzecznie zdjęła z głowy czapeczkę, witając w ten sposób publiczność. Teraz jegomość z brodą zaczął grać na kobzie, a małpka w czerwonych spodenkach i żółtym fraczku zatańczyła tak pięknie, że dzieci poprostu szalały z radości. Na dodatek wywineła kilka koziołków i skłoniła się znowu widzom. Wszyscy trzymali się za boki od śmiechu. Cudowna była ta małpka! Teraz rozpoczęły się występy niedźwiedzia. Nosił na pysku wielki kaganiec i od czasu do czasu ryczał całkiem głośno.

— Hopla! — zawołał jegomość z brodą.

Niedźwiedź stanął na dwóch zadnich łapach, wziął w zęby kij i począł tańczyć przy dźwiękach kobzy. Potem jegomość

z brodą kazał mu skakać przez kij, ale niedźwiedź robił to bardzo niechętnie. W pewnej chwili zawył tak przeciągle, że Anielka w przerażeniu rozejrzała się na wszystkie strony, a później najbardziej była zadowolona, gdy zwierzę spokojnie położyło się na ziemi. Przedstawienie jednak nie na tem miało się skończyć, bo przecież zawsze najcudowniejszy występ zostawia się na ostatek.

Jegomość z brodą zagrał na swej kobzie jakąś dziwnie smętną melodję, a przy akompaniamencie tym chłopiec w aksamitnym ubranku dźwięcznym głosem począł śpiewać piękną pieśń w obcym języku. To właśnie najbardziej podobało się publiczności. Na ogólne żądanie chłopiec musiał zaśpiewać jeszcze drugą piosenkę, a potem nagle małpka zeskoczyła z garbu wielbłąda i przysiadła na ramieniu chłopca. Chłopiec z małpką począł chodzić od jednego widza do drugiego i wszyscy wrzucali mu do czapeczki pieniądze, poczem te wszystkie pieniądze zniknęły w ogromnej kieszeni jegomości z brodą.

Po przedstawieniu jegomość z brodą udał się do karczmy. „Pod Wołem”, gdzie musiała gościom pokazywać rozmaite sztuczki.

Anielka wszystko dokładnie widziała stojąc wraz z innymi dziećmi za oknem i rozbłysłym wzrokiem spoglądając przez szyby. Słyszała również, jak piękny chłopiec śpiewał rozmaite obce piosenki. Tego dnia Anielka zapomniała nawet o głodzie o tem, że należało wracać do domu.

— Ach, żebym tak mogła z tym jegościem z brodą pójść w daleki świat! — marzyła i zbudziła się dopiero z tego cudownego snu, gdy usłyszała tuż za sobą wołanie matki.

Zeskoczyła z gżemu okiennego i poprawiwszy przekrzywiony nieco wianuszek na głowie, poczęła iść w zamyśleniu w stronę domu.

Dopiero teraz przypomniała sobie znowu o bucikach z guzikami. Jakże one wyglądały? Stanowczo były jeszcze bardzo ładne!

— Jakże mogłam o nich zapomnieć? — myślała Anielka zdziwiona i ostrożnie zaniósła buki do kuchni, aby je tam oczyścić.

Coś wesołego.

W niedzielny ranek siedziała Anielka nad brzegiem rzeki, czekając na matkę. Matka poszła do kościoła, a Anielka czuła się cudownie, wygrzewając się w ciepłe promienie słonecznych

Bim, bim, zaczęły wreszcie dzwonić dzwony.

— Nabożeństwo skończone, — pomyślała Anielka, podniosła się i poczęła iść w stronę szerokiej drogi.

Z kościoła ludzie już wychodzili. Większość kobiet miała szerokie wzorzyste spódnice, które przy każdym ruchu powiewały.

— Ach, jak wspaniale wygląda żona oberżysty Brzózki, — pomyślała Anielka ze zdziwieniem, — jaką ma piękną suknię w kwiaty i jaki śliczny czepek.

Dwie aksamitne wstążki zawisły z tyłu czepca, a drugie dwie związane były pod szyją w wielką kokardę.

Aneczka Stykówna też miała śliczny kapturek, przybrany różyczkami, zupełnie takimi samymi, jakie miała na kapturku Zuzia powroźnika Hieronima. Za gromadką wracających ludzi pojawił się Wojtek. Anielka nie mogła go poznać w czystym świątecznym ubraniu i w haftowanej kolorowej kamizelce.

— Wojteczku! — zawołała ze śmiechem.

Wojtek skinął jej głową.

Żona Jana Kucharczyka przeszła tuż obok Anielki. Niosła w ręku dużą książkę do nabożeństwa, w drugiej zaś ręce czystą nakrochmaloną chustkę i gałązkę rozmarynu.

— Jak się macie, — powitała kiwnięciem głowy żonę Kacpra Gałązki, która przechodziła przez ulicę, kierując się w stronę rzeki.

Zagroda Kucharczyków znajdowała się tuż za strumieniem i trzeba było przejść przez wąską kładkę. Anielka dostrzegła, że Kucharczykowa też miała kwiecistą suknię i długie złote kolczyki w uszach. Weszła teraz na kładkę i poczęła ostrożnie po niej stąpać.

— Ach! — dobyło się z piersi Anielki, bo oto kładka złamała się i Janowa Kucharczykowa wpadła do strumyka.

Nie zniknęła jednak pod wodą, bo jej szeroka kwiecista suknia, niby balon wyduła się na powierzchni wody, pęczniąc z każdą chwilą. Anielkę rozweseliło to do tego stopnia, że wybuchnęła głośnym śmiechem. Mężczyźni wyciągnęli wrzeszczącą Kucharczykową ze strumienia, a Anielka poszła z matką do domu. Najgorsze to, że samego końca tej przygody nie mogła zobaczyć.

W kąpieli.

— Anielciu, Anielciu, — wołała Cesia z ulicy, — chodź prędko, idziemy się kąpać.

Anielka jednak rozdarła swoją jedyną sukienkę na codzien i w żaden sposób nie mogła jej włożyć. Co począć? Wykąpałaby się chętnie! Bezradnie poczęła rozglądać się po izbie.

— Ach! tam przecież leżą spodnie Stefka. Decydując się pośpiesznie, naciągnęła Anielka spodnie, przypięła do nich szelki i wybiegła z domu. Na jej widok Cesia wybuchnęła śmiechem.

Rozpalona i pełna kurzu była szeroka wiejska droga. Na polach zboża i trawy żółkły, na drzewach nie poruszał się ani jeden listek. Wszystko trwało uśpione w szalonym upale. Nawet ptaki zamilkły i rzeka przestała szumieć.

— Tam, przy tamtym krzaku rozbierzemy się! — zawołała Anielka wesoło.

Zaledwie to wypowiedziała, zrzuciła spodnie, a potem koszulkę zdjęła przez głowę. Najprzód duże palce obydwu nóg zanurzyła w wodzie.

— Cesiu, tu nie jest głęboko, chodź prędko!

— A woda zimna?

— Nie, nie. Nawet ciepła, patrz, ja już jestem w wodzie! — i Anielka poczęła pluśkać wodą na wszystkie strony.

— Chodź, pomóż mi, — zawołała Ce-

sia, — nogi grzęzną mi w piasku! Patrz, woda sięga mi już do kolan!

— Ja jeszcze dalej idę!

— Ja także!

— Ach, jakaż kąpiel jest przyjemna!

— Zanurzę się raz aż po szyję! Raz, dwa, trzy!

Anielka szeroko otworzyła oczy.

— Teraz jestem zupełnie mokra! — oznajmiła piskliwie, — jeszcze raz zrobię to samo! Raz, dwa, trzy! Jeszcze raz, jeszcze raz! Chodź, zanurzymy się razem. Raz, dwa, trzy! Nadół, w górę, nadół, w górę!

Dziewczynki tak długo skakały, aż wreszcie poczuły zmęczenie.

— Spróbuję czołgać się na brzuchu, — wpadła na pomysł Anielka i położyła się natchmiast w płytkiej wodzie.

— Patrz, jakoś idzie, już przesunęłam się daleko, pójdę jeszcze dalej, ale spójrz, Cesi!

— Słuchaj, jakieś dzieciaki biegną w naszą stronę, — przerwała jej Cesia.

— Zawołamy je, to będzie weselej!

— Hop, hop, hop, hop! Tutaj! Tu jest ślicznie! Chodźcie do nas!

— Dawno już tu jesteście?

— Nie, bardzo niedawno, ale rozbierajcie się, woda jest cudowna!

— Dwa dni temu schowałyśmy za tym krzakiem kładkę, — opowiadały Weronka i Manusia. — Przyniesiemy ją i zrobimy sobie okręcik.

— O tak, tak!

Po kilku chwilach wszystkie dziewczynki były już w wodzie.

— Tu jest deska, — wołała Weronka, — chodźcie i usiądźcie na niej! Maniusiu, musisz zdobyć jeszcze jakieś wiosło! Weź tę gałąź! Teraz odbijaj. O, jak ślicznie płynie!

— Odbij raz jeszcze.

— Cudownie!

— Tylko nie zadaleko!

— Nie, nie!

— Okręcik płynie, okręcik płynie, hurra!

Na pobliskich łąkach i polach słychać było okrzyki i śmiechy kąpiących się dziewczynek.

— Teraz położę się na brzegu na słońcu, — zawołała Anielka, wyskakując z wody. — Ach, jak tu ciepło! Chodźcie do mnie!

— Tak, tak!

— Już trochę obeschłam!

— Ja także!

— I ja!

— Chodźmy z powrotem do wody! Raz, dwa, trzy, chlup!

— Na deskę!

— Okręcik płynie!

— Żegnaj wiosko rodzinna, płyniemy daleko, daleko.

Tak zabawiały się dzieci aż do wieczora.

— Muszę już wracać do domu, — przyszło na myśl Cesi i pośpiesznie poczęła zaplatać warkoczyki.

— My także idziemy, — zawołały dziewczynki, zręcznie się ubierając. Anielka pierwsza była gotowa.

— Nic dziwnego, — śmiała się Cesia, — jak się ma spodnie, to można się prędko ubrać!

— Ale w spodniach o wiele wygodniej, — orzekła po namyśle Anielka, wsuwając rączki do wielkich kieszeni. — Chciałabym być chłopcem!

I w wesołych podskokach dziewczynki jedna za drugą poczęły biec do domu.

Odkrycie na sianie.

Padał deszcz. Anielka i Elżunia siedziały wygodnie na stosie drzewa za domem i przez słomki puszczały bańki mydlane.

— Patrz, jaka moja duża! — cieszyła się Anielka, — będzie jeszcze większa za chwilę. Teraz zatrzymała się na gałęzi. Patrz, jakie ma pięknie kolory! Teraz frunie dalej. O, mój Boże, pękła! Zaraz zrobię drugą.

Dziewczynki sprzeczały się, która z nich ładniejsze bańki potrafi wydmuchać, po pół godzinie jednak poczęła je nudzić ta zabawa.

— Chodź, pójdziemy trochę na strych,— wpadła na pomysł Elżunia i niby dwie myszki, dziewczynki poczęły biec lekko po schodach.

Na strychu w jednej ze ścian znajdowała się tajemnicza dziura, przez którą można było zajrzeć do świeżo wybudowanej szopy sąsiada. Już niejednokrotnie tą dziurą przedostawały się dzieci na złożone w sąsiedniej szopie siano. I teraz Elżunia i Anielka wytknęły przez dziurę główki.

— Możemy przyjść? — zapytały Wojtka.

— Jak wam się podoba, — odburknał.

Po chwili dziewczynki siedziały już na sianie.

— Ja sobie zrobię posłanie! — piszczała Elżunia. — To jest poduszka, a tutaj mam kołderkę. Teraz jestem zupełnie przykryta! Zrób tak samo, Anielciu.

Gdy Anielka jednak sięgnęła po garstkę siana, natknęła się na wzniesiony ku górze ogonek kotki Misi, sterczący nad sianem. Cudowne to było zwierzątko! Srebrzysta sierść połyskiwała, jak jedwab, zielone oczy iskrzyły się.

— Mrrr! Mrr!

Najprawdopodobniej w języku kocim miało to oznaczać: Dobry wieczór.

— Misia! — zawołała Anielka uradowana, chcąc kotkę wziąć na ręce. Kotka jednak odskoczyła śpiesznie na stronę i mruzczała dalej: Mrr, mrr, mrr!

Wówczas ku wielkiemu swemu zdziwieniu ujrzały dziewczynki kilka maleńkich kocich lebków, wynurzających się z siana. Jedno ze zwierzątek wylazło już z ukrycia, później drugie, trzecie i czwarte. Wszystkie były prześliczne i tak śmiesznie kołysały się na maleńkich nóżkach.

— Patrz, jakie mają cudne ogonki! — szeptała Anielka, — i różowe noski, a oczka jakie okrągłe. Sierść mają zupełnie jak stara. Ach, strasznie bym je chciała pogłaskać!

— Nie, daj spokój! — broniła kocięta Elżunia.

Zadowolona i dumna, położyła się Misia na sianie, a kocięta poczęły ją ssać żarłocznie.

— Pewno nie wiedzieliście, że mam dzieci i do tego takie ładne, — zdawała się mówić Misia. — Ale proszę was, nie róbcie im krzywdy!

Spoglądała teraz na Anielkę i Elżunię

blagalnie, gdy obydwie stały pochylone nad nią.

— Spójrz, Elżuniu, na to maleństwo! — cieszyła się Anielka, biorąc jedno najedzone już kociątko na ręce. — Jakie mięciutkie jest i jakie ma cudowne szare włoski. Ach, jakie sympatyczne!

— Moje jest jeszcze ładniejsze, — pochwalała się Elżunia, — ma czarne łapki i błękitne ślepki, a przy starej leży drugie takie same.

— Tak, a czwarte jest znowu bure.

— Miau, miau, prosiła Misia, miau, miau, skarżyły się maleństwa.

— Nie bójcie się, nie zrobimy wam krzywdy, — pocieszała Anielka, — chcemy się wam tylko przyjrzeć. Patrz, Misiu, oddaję ci twoje kociątko, a tutaj jest drugie, które wzięła Elżunia. Zadowolona jesteś? Acha, chcesz je umyć!

Dziewczynki spoglądały uszczęśliwione, jak kotka lizala swe dzieci: jedno po drugim i jak maleństwa wdrapywały się na grzbiet matki, męcząc ją niemilosiernie. Wreszcie Misia wstała i zeskoczyła z siana nadół. Wówczas Anielka i Elżunia usiadły na jej miejscu, bawiąc się z figlarnymi kociątkami, które wreszcie zasnęły w ich fartuszkach.

— Chodź, pokażemy je mamie, — rzekła Anielka i znowu przez dziurę w ścianę obydwie dziewczynki przedostały się na strych.

— Patrz, mamó, cośmy znalazły! — wołała Elżunia, wbiegając do izby. — Ale jak będą większe, to będziemy mogły sobie wziąć jednego kociaka, prawda? Sąsiad napewno pozwoli. Mamó, powiedz, że będziemy mogły!

Matka musiała podziwiać kocięta i dać dziewczynkom przyrzeczenie.

— Ach, będziemy mogły jednego zatrzymać! — cieszyła się Anielka. — Ja się chyba tej chwili nie doczekam!

Dziewczynki wzięły znowu kocięta na ręce i zniosły je z powrotem na siano. Tam każdemu kociakowi zrobiły gniazdeczko, układając wszystkie troskliwie i głaszcząc je na pożegnanie.

— Śpijcie spokojnie, maleństwa najdroższe, — szeptwała Anielka, wyskakując przez dziurę w ścianie.

Zabijamy prosiaka.

Kwik! Kwik! Kwik! kwiczało zarzynane prosię tak głośno, że w całej wsi je było słyhać. Anielka wybiegła przed dom.

— Stefek! Stefcu, prosię Styków za-

ryznają, — zawołała, wbiegając do sieni, —
chodź prędko!

Stefek pośpiesznie zbiegł po schodach.
Do zagrody Styków było zaledwie kilka
kroków.

— Patrz, już nie żyje, — rzekła Anielka
ze smutkiem, — cała krew mu wyciekła.
Patrz, Stefciu, szaflik jest pełen krwi.
Ach, biedne prosiątko, napewno je bardzo
bolało.

— Głupia jesteś, — zawołał Stefek. —
Powinnaś się cieszyć, bo dostaniesz kawałek
doskonałej kiełbasy. Napewno pan Styk
wszystkich nas poczęstuje.

Anielka nie mogła jednak odzyskać do-
brego humoru i gdy prosię włożono do ba-
lji z gorącą wodą, wyszeptała z przeraże-
niem:

— Stefciu, zobacz, przecież ono żyje,
rusza się!

— Co tam pleciesz, — obruszył się Ste-
fek — to nam się tylko zdaje, ale prosiak
jest zabity i nic już nie czuje.

— Czy pewny jesteś?

— Tak, tak.

Na dwóch powrozach rzeźnik i Wojtek
wyciągnęli prosiaka z wody i zataszczyli na
szeroką deskę.

— Teraz jest już całkiem czysty, — za-

uważył Stefek. — Zobaczysz, jak mu będą szczecinę oskrobywać.

Anielce jednak zrobiło się dziwnie słabo i ucieszyła się ogromnie, gdy matka nagle zawołała:

— Dzieci, dzieci, najwyższa pora pójść do szkoły!

Anielka już ani razu się nie obejrzała, tylko Stefek przystanął jeszcze na chwilę, a potem, idąc wraz z nią do domu, opowiadał z zapałem:

— Teraz prosiaka poćwiartują wielkim rzeźnickim nożem, a napewno będzie z niego dużo mięsa i dużo słoniny. Szkoda, że ten prosiak nie jest nasz, bo mielibyśmy duży zapas schabu, porobiłoby się kielbasy i uwędziło w kominie. To byłoby dopiero cudowne! Ale strasznie się cieszę dzisiaj wieczorem, bo napewno dostaniemy od Styków kielbasy. Przecież przez cały rok przynosiliśmy im jedzenie dla świń, więc kielbasa nam się stanowczo należy. Lubisz kielbasę, Anielciu?

Anielka energicznie skinęła głową. Przez cały czas w szkole myślała ustawicznie o kielbasie. Poprostu na żadnej lekcji uważać nie mogła. Biedne zabite prosię poszło wkrótce w niepamięć.

— Anielciu, Anielciu, o czym ty myślisz dzisiaj? — zwrócił się do niej popołudniu nauczyciel.

Anielka zaczerwieniła się, bo dobrze wiedziała, o czym myśli. Nareszcie, nareszcie lekcje się skończyły. Gdy dzieci przyszły do domu, matka oznajmiła:

— Wojtek był tu pół godziny temu. Macie przyjść wieczorem do Styków i zabrać ze sobą talerze.

— Ach, cudownie! — cieszyły się dzieci, tańcząc z radości po izbie.

Prostu doczekać się nie mogły oznaczonego czasu. Stefek stanął przy stole i zaśpiewał:

„Będę śpiewał o kielbasie,
Na tem każde dziecko zna się.
Lubię też wieprzową nogę,
Ale dużo zjeść nie mogę.
Do szynki mi leci ślinka,
Smaczna jest ta wieprzowinka.”

Reszta dzieci wtórowała mu wesoło, a wszyscy z niecierpliwości przestępowali z nogi na nogę. Wreszcie, gdy mrok zapadł, matka zawołała z przyległej izby:

— Teraz możecie już iść, ale podziękujcie pięknie, gdy dostaniecie kielbasy!

Pobrzękując talerzami, dzieci poskoczyły ku drzwiom. Na dworze padał śnieg. Przed

chatą Styków stała gromadka roześmianych dzieciaków, śpiewając głośno:

„Maluś, maluś nie powiem nikomu,
Dajcie mi kielbasy, to pójdę do domu.
Zamiast jednej, dwie mi dajcie,
Resztę sobie zabierajcie.
Dajcie trzecią na kolację,
Wtedy mieć będziecie rację.

Gdy kończono tę pieśń, rozpoczynano ją znowu od początku i tak śpiewano bez końca. Anielka i jej rodzeństwo podeszli, pukając do drzwi kuchni.

— Proszę wejść! — zawołała Stykowa.

Dzieci otworzyły drzwi. Ach, jak tu pięknie pachnie, jak wesoło skwierczy na kominię! Wielkie misy napełnione mięsem stały na stole, a na desce leżały dymiące kielbasy.

— Dobrze, że przyszliście, — rzekła Stykowa, — ale musicie chwileczkę poczekać, bo mam dzisiaj pełne ręce roboty.

Po chwili zaniosiła ogromną wazę dymiącej zupy do przyległej izby, gdzie dokoła dużego stołu siedzili rozweseleni goście. Wróciła następnie po dwa półmiski z mięsem, a Amelka musiała jej pomóc, zanosząc garnek kartofli i miskę świeżo ugotowanych kielbas.

— Teraz na was kolej, — rzekła Sty-

kowa, wracając znowu do kuchni — Dajcie wasze talerze!

Nałożyła na talerze całe stopy kielbasy i mięsa, a Stefek dostał nawet ucho wieprzowe, Anielka zaś wieprzowy ogonek. Wszystkie talerze napełnione były pod górę.

— Dziękujemy pięknie, dziękujemy ślicznie, — wołały uradowane dzieci i szybko wymknęły się z chaty Styków.

— Mamo, mamo, — cieszyła się Anielka, — dostałam ogonek, patrz, dostałam ogonek! Prawda, że mogę go zjeść?

— Możesz, możesz, — śmiała się matka, kładąc mięso na patelni, tylko kielbasy postawiła na stole i dzieci natychmiast wzięły się do jedzenia.

— Ach, jaka doskonała! — zachwycał się Stefek. — Byłbym bardzo zadowolony, gdyby Stykowie codziennie zabijali prosiaka.

Pierwsza wielka podróż Anielki

Na dworze panowała jeszcze czarna noc. Nagle jakieś drzwi we wsi się otwały i wyszła niemi Anielka, trzymając babcię za rękę. Oczy Anielki błyszczały nieopisaną radością, bo oto nastał wreszcie ten uroczysty dzień, w którym miała się udać do Wiatrowa na jarmark św. Marcina. Po raz pierwszy w życiu miała Anielka zobaczyć

prawdziwe miasto, nic więc dziwnego, że serce wyrывało jej się z piersi radośnie.

Trzymała mocno babcię za rękę i szła naprzód dużemi krokami. Wszystko dokoła trwało w śmiertelnej ciszy, a wśród mroków nocy Anielka zaledwie ulicę przed sobą widziała. Babcia również od czasu do czasu musiała zapalać świeczkę, aby przeczytać, coś na wskaźniku drogowym.

— Zaraz będzie dzień, — mówiła kilkakrotnie, ciągle jednak było jeszcze ciemno i ludzie we wszystkich domach smacznie spali.

Babcia nagle poczęła się niepokoić, a niepokój ten udzielił się i Anielce.

— Jak zobaczymy jakieś światelko, to wstąpimy i zapytamy, która godzina — oświadczyła babcia uspokajająco.

Przez dłuższy jednak czas nie dostrzegły nigdzie żadnego domostwa, aż wreszcie ujrzały światelko w jakiejś stajni, znajdującej się widocznie przy drodze. Babcia wraz z Anielką podeszły, otworzyły drzwi i babcia uprzejmie zapytała o godzinę.

— Jest teraz piąta, — odparł zaspany wieśniak, przyglądając się babci ze zdziwieniem — Wcześniej jesteście na nogach!

— Ach, Jezus Marja! — zawołała babcia załamując ręce. — Teraz się nie dziwię, że

dnia jakoś nie widać. Widocznie mój stary zegar w domu stanął i obudziłam dzieciaka tak wcześnie.

— To nic nie szkodzi, — wtrąciła Anielka. — Będziemy zato wcześniej na miejscu.

Babcia zaśmiała się i obydwie powędrowały dalej.

W mieście.

Słońce stało wysoko na niebie. Powieziało już pagórkom i dolinom „dzień dobry” i swe złociste promienie rozesało teraz na lasy i rzeki. Ale co nagle słońce ujrzało? Połną ścieżką, tuż pod Wiatrowem szły Anielka i jej babcia.

Anielka była zupełnie zadowolona, to też radośnie kołysała w powietrzu okrągłym koszykiem i z ciekawością przyglądała się babci. Czy to poranne słońce sprawiło, że nagle wydało się Anielce, iż babcia dzisiaj wyjątkowo pięknie wyglądała? Jedwabny wzorzysty czepiec babci połyskiwał dzisiaj jakoś inaczej, a czarne wstążki pod brodą zwisały aż do pasa. Pięknie było babci w tym czepcu, bezwątpienia! Ciemny nowy kaftan, który dzisiaj również włożyła, oraz wzorzysty odświętny fartuszek, dopełniały stroju. Anielka była poprostu dumna ze swej babci, to też coraz mocniej ścisnęła ją za rękę.

— Najprzód wstąpimy do Romka i zaniemiemy mu jabłka w koszyku, — rzekła babcia w pewnej chwili.

Anielka widziała domy, białe wysokie domy, ciągnące się całymi rzędami, posiadające mnóstwo piętér. Wąskimi, zamiecionymi ulicami kroczyła przy niej babcia i każdy ich krok rozlegał się echem na kamiennym chodniku. Wreszcie babcia podeszła do jednego z domów i pociągnęła za dzwonek.

W drzwiach ukazała się jakaś kobieta. Przywołała potem brata Anielki, Romka z warsztatu malarskiego, w którym pracował już od sześciu miesięcy. Romek podziękował babci za jabłka i za monetkę, którą mu wcisnęła do ręki, poczem wskazał drogę do najbliższej oberży.

Anielka nie posiadała się z radości. Więc wolno jej będzie razem z babcią zasiaść przy dużym stole i pić kawę z cudownej białej filiżanki! Filiżanka miała ucho, prawdziwe ucho, przez które można było przesunąć palec. Takiego ucha Anielka jeszcze nigdy w swoim życiu nie widziała. Obok filiżanki leżała błyszcząca łyżeczka, o wiele mniejsza od tych wszystkich, któremi Anielka jadła w domu.

— Zjedz tę bułeczkę, bo będziesz głodna, — uprzedzała ją babcia.

Anielka ugryzła kawałeczek i widocznie bułeczka smakowała jej bardzo, bo potem zjadła drugą, trzecią i czwartą.

Na ulicy zobaczyła Anielka mnóstwo ludzi, którzy biegali w tę i w tamtą stronę z jakimiś paczkami i koszami. Niektórzy byli bardzo ładnie ubrani, o wiele ładniej, niż najbogatsi mieszkańcy Wielkiej Wsi. Wozy turkotały po bruku, a Anielka podziwiała i podziwiała piękne towary, wywożone na wystawach sklepowych.

— Przyjemnie musi być tym ludzom w mieście, — myślała. — Ach, jak jabym chciała kiedyś w mieście zamieszkać i być czemś wielkiem!

Na twarzyczce Anielki odmalowało się gorące pragnienie zostania czemś i zdobycia całego mnóstwa pieniędzy.

— Trzymaj mnie mocniej za rękę, bo jeszcze gdzieś zginiesz! — rzekła babcia. — Teraz wchodzimy na plac targowy.

Tutaj stragan stał przy straganie. Buty, materiały, naczynia, kapelusze, zabawki, wszystko, czego tylko dusza zapagnie, wabiło oczy i zachęcało do kupna. Babcia kupiła dużo metrów materiału w rozmaitych kolorach. Kupiła również kilka chustek czerwonych, żółtych i białych. Te chustki Anielka musiała dźwigać. Później cały towar zosta-

wiła babcia w starej oberży, z której wieczorem miał go zabrać jeden z sąsiadów, do Wielkiej Wsi. Z sąsiadem tym miały pojechać również babcia i Anielka. Udały się jednak jeszcze po raz drugi na jarmark i znowu wróciły stamtąd porządnie obładowane.

— Teraz musimy zjeść obiad,— oświadczyła babcia i Anielka dostała na obiad potrawę, której jeszcze nigdy w swoim życiu nie jadła. Była to smażona wątróbka z makaronem i smakowała Anielce wyjątkowo!

Nabierała na widelec każdą kluskę oddzielnie i z niezwykłą umiejętnością wciągała ją do ust, co oczywiście trwało bardzo długo. Babcia tymczasem rozmawiała z jakąś kobietą, która opowiadała babci o dalekich wielkich miastach, gdzie wiele można zobaczyć i wielu rzeczy się nauczyć, o dalekich pięknych podróżach, o morzu i o cudownej Ameryce, Anielka słuchała tego wszystkiego z otwartymi ustami.

— Ameryka, — wyszeptwała cichutko do siebie. Tak, do Ameryki chciałyby kiedyś pojechać.

I wyobrażała już sobie, jak wszyscy mieszkańcy wsi będą ją żegnać, jak ją błogosławią na drogę.

— A później, o wiele później wrócę tu znowu i będę wtedy bardzo bogata i opo-

wiadać będę wszystkim, co widziałam, — układała plany.

Gdy babcia pożegnała się ze swą znajomą i wyszła z oberży, Anielka szła przy jej boku, jakby we śnie.

Siedem rzeczy musiała na jarmarku kupić dla matki i rodzeństwa. Koszyczek jej wypełnił się krzemieniami, słodkim plackiem, cukierkami i bułeczkami maślanymi. Anielka uważnie koszyczek zamknęła. Babcia na odchodnym kupiła jej jeszcze duży cukierek na patyku, który Anielka lizała aż do wieczora. Przy oberży czekał już na nie sąsiad z wozem i z koniem przygotowanym do drogi. Wóz wyglądał, jak mały domek, bo okryty był białym płótnem, które zastępowało dach. Pod ten dach wcisnęli się wszyscy, którzy chcieli jechać, bagaże swoje ustawili na deskach wozu, sami zaś usiedli na wąskich drewniach ławeczkach. Oprócz Anielki i babci, na wóz wsiadły jeszcze dwie kobiety z Wielkiej Wsi.

Anielka była zmęczona, bardzo zmęczona, lecz mocno trzymała w ręku swój koszyczek. Gdy ruszono z miejsca, kędzierzawa jej główka poczęła opadać, aż wreszcie spoczęła na piersi babci. Podczas, gdy wóz, przykryty białym płótnem zbliżał się do ro-

dzinnej wioski, Anielka śniła słodko o pierwszej swojej wielkiej podróży.

Spełnienie marzeń.

Kilka lat minęło, a w duszy Anielki rośnię wciãż pragnienie wyruszenia w daleki piękny świat. Aż wreszcie stało się coś niezwykłego. Ludzie z białemi i czerwonymi tyczkami poczęli błędzić po dolinie i robić pomiary. Podobno mieli budować kolej żelazną, prawdziwą, poruszającą się i gwiżdżącą żelazną kolej!

Wieśniacy i wieśniaczki łączyli się w gromadki, omawiając to niezwykle wydarzenie. Starzy potrzãsal w zamyśleniu głowami, młodzi byli zadowoleni. Matka Anielki radowała się, że spory kawał swej ziemi będzie mogła sprzedać za drogie pieniądze.

A potem przybyli do wsi jacyś ludzie weseli i stale śpiewający. Poczęli kopać, przerzucać ziemię, położyli szyny i jeździli tam i napowrót maleńkiemi wagonikami. Rozległy się w dolinie uderzenia młotów, rozbrzmiewały ustawicznie nawoływania. W cichej dotychczas dolinie zrodziło się życie obce, jakieś głośnie i hałaśliwe.

Anielka nie posiadała się z podziwu.

Całemi godzinami mogła się przyglądać pracy tych obcych ludzi, całemi godzinami przysłuchiwała się ich rozmowom. Czasami ludzie ci pozwalali jej i innym dzieciom wsiąść do maleńkiego wagoniku i przejechać się trochę. Po każdej takiej przejażdżce Anielka rumieniła się i szeptała nieśmiało: „Dziękuję”.

Co niedzielę ponad doliną rozbrzmiewał dźwięczny wesoły śpiew i śpiew ten znowu budził w duszy Anielki tęsknotę za wędrowną po szerokim świecie...

Szyny kolejowe i maleńki budynek dworcowy we wsi, były już gotowe. Zbliżał się dzień uroczysty, kiedy pierwszy pociąg prawdziwy miał przebiec doliną. Wszystkie chaty przystrojono zielenią, wszystkie okoliczne dworce ubrane były flagami. Mieszkańcy wsi odświętnie ubrani czekali niecierpliwie na ukazanie się pierwszego pociągu.

Tam, stamtąd nadchodził! Ludziom zaparło oddech w piersiach, poczęły powiewać chustkami, a przystrojona zielenią i dysząca parą lokomotywa, zatrzymała się na maleńkiej stacyjce w Wielkiej Wsi. Z umajonych wagonów wyrzały uśmiechnięte twarze, zabrzmiała muzyka i śpiew.

Kto pragnął, mógł wsiąść i całkiem za darmo przejechać się do Wiatrowa i z po-

wrotem. Oczywiście Anielka nieomieszkała skorzystać z tej okazji. Zdawało jej się, że nagle droga na szeroki świat przed nią się otwarła, skoro prawdziwy pociąg zatrzymuje się w jej rodzinnej wiosce.

Gdy znowu kilka lat minęło i Anielka przestała już chodzić do szkoły, tęsknota jej za wędrowną po świecie stawała się coraz gorętsza i pani Lipkowa nie miała już na ten temat ani chwili spokoju. Anielka pragnęła wydostać się z wąskiej doliny, pragnęła zobaczyć coś nowego, czegoś nowego się nauczyć.

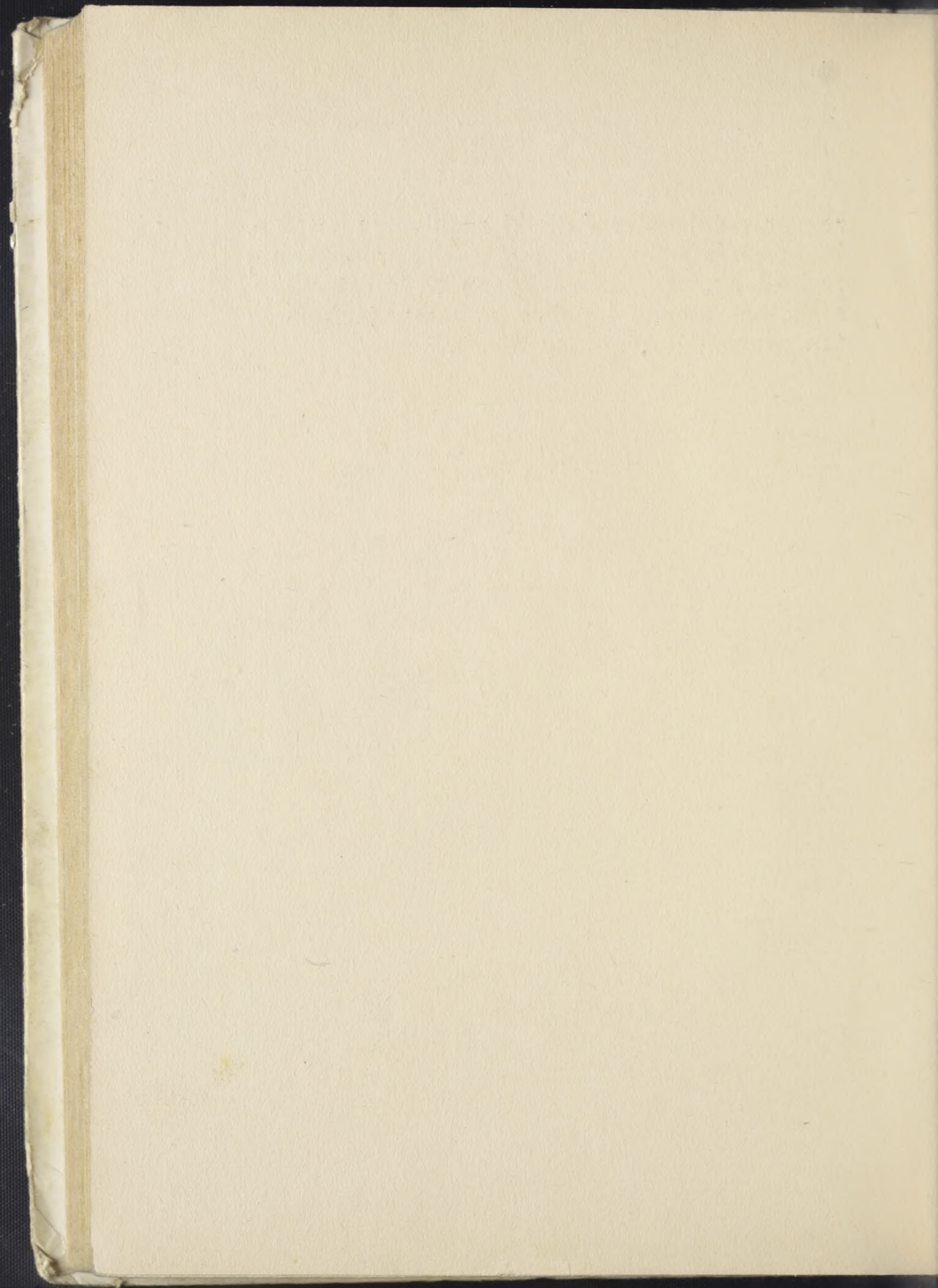
Matka nie miała nic przeciwko temu, więc napisała do jakiejś znajomej pani, mieszkającej w oddalonem mieście. U tej pani będzie mogła Anielka tymczasem zamieszkać.

Dzień wyjazdu coraz bardziej się zbliżał. Odprowadzana przez matkę i rodzeństwo, szła Anielka w stronę dworca z dużą podróżną torbą w ręku. Nadszedł pociąg. Anielka poczęła się żegnać. Z oczami pełnymi łez żegnała powiewaniem chustki dom rodzinny i rodzinną wioskę. Teraz dopiero czuła, jak droga jej była ta zaciszna wąska dolina. Gdy jednak pociąg począł biec pod górę i gdy oddalał się od Wielkiej Wsi co-

raz bardziej, oczy Anielki rozbłysły na nowo. W sercu jej poczęła się rodzić nieopisana radość i z prawdziwą wiarą w to, że wszystko jest piękne i dobre, Anielka jechała w ten szeroki upragniony świat.

K O N I E C









Alce

Biblioteka Narodowa
Warszawa



30001021685024

*Ant. Rana Aus^o
17.06.1998 Kralow
21.40,-*



1468127